

## PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

### Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie rocznie rub. 7 kop. 20, półrocznie rub. 3 kop. 60; kwartalnie rub. 1 kop. 80 miesięcznie kop. 60.

Na Pradze w księgarni S. Rzymskiego, Wileńska, 4.

### Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rub. 2 kop. 50, rocznie rub. 10.

Cena numeru pojedynczego kop. 20.

Redaktor: **Maryan Gawalewicz.**

Wydawca: **Piotr Laskauer.**

*Ekspedycja Główna przy ulicy Nowy-Swiat Nr. 41.*

Ogłoszenia przyjmuje Administracja „Bluszcza” po kop. 15 za wiersz petitem lub za jego miejsce.

W Cesarstwie Austriackim we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie zlr. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową zlr. 3 cent. 50.

W Krakowie: u D. E. Friedleina: kwartalnie zlr. 2 cent. 75, na prowincyi z przesyłką pocztową zlr. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim dla abonentów „Dziennika Poznańskiego” w Poznaniu kwartalnie 4,00 mk., z przesyłką pocztową 4,60.

## W zaraniu nowego dnia.



„Witaj jutrzeńko swobody!”

A. M.

Odwróciła się karta dziejów...

Wprawdzie w tej największej i najwspanialszej z ksiąg, w której sam Bóg spisuje historię państw i narodów, obaczyliśmy tylko kartę tytułową nowego rozdziału, ale na tym tytule widniało słowo, które dla serca ludów spętanych odzywa się głosem tysiąca gromów, bucha blaskiem stu słońc, grzeje żarem wulkanów, a słowem tem: Wolność!..

Pokazano nagle i niespodzianie jednemu z najliczniejszych narodów, a ostatniemu w rządzie mocarstw europejskich, które się bez swobód nowoczesnych obywateli musiało, tytuł księgi nowej, nie skończonej, a za ledwie w pospiechu rozpoczętej, i wstrząsnęło nim do głębi duszy sto kilkadziesiąt milionów ludzi, łaknących od dawna chleba i spragnionych ożywej rosy wolności.

Dzień 30-go Października r. 1905-go w dziejach całej Słowiańszczyzny będzie może kiedyś najwspanialszą datą, wspominaną ze czcią i zachwytem, jeżeli spełni rzeczywiście nadzieje, jakie obudził.

Manifestem Cesarskim w tym dniu obiecano wszystkim ludom, żyjącym pod berłem Rosyi: „nadać trwale podstawy wolności obywatelskiej na zasadach rzeczywistej nietykalności osobistej, wolności sumienia, słowa, zebrań i związków,” postanowiono zebrać światłych przedstawicieli całego państwa, którzy-

by w utworzyć się mającej Dumie państwowej czuwali nad układaniem nowych praw, a według *niezachwianej zasady* Monarchy: „aby żadne prawo nie mogło pozyskać mocy obowiązującej bez aprobaty tejże Dumy i aby wyborcom ludu zapewnioną była możność rzeczywistego udziału w kontroli nad zgodnością z prawem działań wyznaczonych organów władzy.”

Ma to się znaczyć, że cała Rossya, odtąd zacznie się rządzić ustawami konstytucyjnymi w duchu wolnomyślnym, na wzór oświeconych i postępowych mocarstw europejskich, „z niezachwianej woli” swego władcy, cesarza Mikołaja II-go.

*Sic Imperator jussit.*

Z rozporządzeń tego historycznego aktu, wśród ludów, składających dzisiejszą imperyę rosyjską, i naród polski miał wszelką nadzieję korzystać na zasadzie równości obywatelskiej, — naród, który po tysiącu lat panowania, ostatni wiek przeżyć musiał w poddaństwie, w pokucie za winy popełnione i niepopołnione, w tęsknocie i żalobie po swobodach, których kolejno coraz więcej tracił za każdym razem, gdy je rozważnie czy nierozważnie odzyskiwać próbował.

Rzecz całkiem zrozumiała, że dla nas Polaków, dla nas pogrobowców Rzeczypospolitej, których pradziadowie korzystali już niegdyś przez dziesięć wieków z rozkoszy i dobrodziejstw „złotej wolności,” a którą niebacznie utracili, sama nadzieja choćby częściowej restytucji praw narodowych i obywatelskich musiała sięgnąć do głębi duszy zbolalej, do wnętrza trzewi naszych, wstrząsnąć niemi, ale

i zatargać przypomnieniem zarazem zniesionych krzywd, cierpień i męczarni w długich latach ucisku.

A mimo to niech będzie nam przyznaniem w imię sprawiedliwości, że w tych pierwszych, krótkich dniach upojenia, kiedy samą obietnicę wzięliśmy za fakt spełniony i próbowaliśmy obchodzić radośnie „święto wolności,” serca nasze, jak szlachetne orły roztoczyły skrzydła rozpętane i tylko przedwcześnie lecieć chciały ku słońcu w tej jutrzence swobody, z pieśnią powitalną, ale nie z mściwym krakaniem sępów i kruków.

Porwał nas i uniósł przedwczesny zapal, któregośmy pomimo tyłu zawodów, złudzeń, rozwianych i rozezarów, nie unieśli w sercach wystudzić; podnieciła nas nadzieja i wiara w jaśniejszą przyszłość, zakiplał wrażliwy temperament i te tak naturalne objawy upojonej najgorętszymi uczuciami istoty ludzkiej poczytano nam za złe, za grzech, za zbrodnię niemal, która zasłużyła na karę.

Fatalnością narodów ujarzmionych jest to, że się je podejrzewa i posądza w każdym ruchu, w każdym oddechu głębszym, choćby on był tylko westchnieniem, w każdym słowie, choćby ono było modlitwą, w każdym skureczu instynktowym, choćby on był naturalną reakcją nerwów czy mięśni.

To podejrzenie i posądzenie padło na nas w chwili, w której na pozór najmniej obawiać się go należało.

Zdawało nam się, że zapowiedź konstytucyjnych swobód jest już jej urzeczywistnieniem i okazało się, żeśmy popełnili w najlepszej wierze straszłą pomyłkę, którą przy-

szło okupić świeżemi łzami i krwią, przelaną na bruku Warszawy i wielu miast innych Królestwa Polskiego.

Z reskryptu ministeryalnego dowiedzieliśmy się, że jesteśmy buntownikami, rokoszanami, którzy zamęczają spokój państwowy i nie godni jesteśmy korzystać z praw obywatelskich Manifestu konstytucyjnego, dopóki się nie uspokoimy i nie wytrzeźwimy z chwilowego upojenia wolności.

Na wszystkie dziesięć gubernii Królestwa Polskiego nałożono żelazny tłumik, zaprowadzono stan wojenny i zastosowano prawa wyjątkowe do usmierzenia rzekomego buntu, który miał sięgać aż do naruszenia całości państwa i oderwania nas od Rosyi!

A nam się tylko zdawało, że skoro z wysokości Majestatu padły potężne słowa: *Sic volo, sic jubeo!* to z tą samą chwilą „rzeczywista nietykalność osób, wolność sumienia, słowa, zebrań i związków,“ stanie się niezaprzeczoną faktą, że słowo to stanie się ciałem i odrazu zamieszka między nami.

Nie wzięliśmy tego w rachubę, że „Bóg wysoko, a Cesarz daleko,“ i że najszlachetniejsze zamiary monarchów mocą jakiegoś cudu nie urzeczywistniają się w jednej chwili; że przewroty i reformy państwowe dokonywują się tem powolniej, im cięższą i oporniejszą jest machina biurokratyczna, im bardziej zagmatwane i stępione są narzędzia jej wykonawcze.

Zapomnieliśmy, że żyliśmy w kraju, w któ-

rym akcja posuwa się, jak żółw, ale reakcy skacze, jak jeleń chyzonogi...

Tą pomyłką i tem zapomnieniem zgrzeszyła jednak cała Rosya razem z nami, dopominając się natarczywie i niecierpliwie przyrzeczonych praw.

Głodni nie lubią i nie umieją czekać, a sama obietnica pokarmu nie nasyci nikogo; — przeciwnie, zaostrza jeszcze apetyt.

Przysłowie powiada, że: „Polak, kiedy głodny, to zły,“ nie jest to tylko jego właściwością narodową, lub indywidualną; to raczej cecha ogólnoludzka.

Nie my jedni i nie my wyłącznie na całym obszarze państwa rossyjskiego padliśmy ofiarą sprzeczności, jaka powstała pomiędzy złotą zapowiedzią Manifestu a szarą rzeczywistością dotychczasowych stosunków.

U góry zabrzmiało potężne słowo: „Stań się światło!“ — a w nizinach zgęstniał mrok i jeszcze większą ciemnością zasnuły się obszary.

Polityka nowego rządu nie obliczyła się z psychologią mas i ich logiką; zapomniła, że proklamacja wolności nie może być tylko pięknem, ale pustym brzmieniem, że trzeba ją koniecznie poprzeć jakimś realnym dowodem, stwierdzającym szczerą, stanowczą, faktyczność powziętych zamiarów.

Wygłodzonego lwa niebezpiecznie jest karmić z ręki, — trzeba mu rzucić od razu duży kawał strawy, aby go zaspokoić, bo to nie tresowany pudel, któremu na nosie można położyć kawałek cukru i z palcem podnie-

sionym do góry, rozkazującym: „Waruj!“ powstrzymywać jego pokuszenia i apetyt.

Uświadomione narody nie należą do rodzaju posłusznych pudłów, a gdy poczują w sobie siłę, stają się rozstrożonymi lwami, które można do czasu trzymać w żelaznych klatkach, ale ryzykownie jest drażnić je otwieraniem drzwi i ludzić wypuszczeniem na wolność.

„Głos ludu jest głosem Boga,“ — powiadali starzy Rzymianie, ale niemiecki poeta, Tschabuschnigg, śnać nie mylił się, gdy mówił: „*Vox populi, vox Dei!*...“ pewnie, — lecz i to jest prawdą szczerą, że dla głuchych uszu snadno oba głosy te przepadną, gdy nie zagrzmia dziko, gniewnie...“

Zapowiedź Konstytucyi byłaby podziałała, jak cudowne zaklęcie pokoju i zgody, gdyby po niej bezpośrednio nastąpiło na początek z dobrej woli ogłoszenie wolności prasy, ułaskawienie politycznych przestępców, zniesienie praw wyjątkowych i stanu wojennego, gdyby nie potrzeba było dopiero upominać się o to, co się taką prostą konsekwencją ogłoszonych swobód wydawało.

W tej sprzeczności pomiędzy słodką nadzieją dnia jutrzejszego, a gorzką rzeczywistością dni dzisiejszych leżała psychologiczna i polityczna pomyłka, która zepsuła spodziewany efekt wiekopomnego aktu państwowego i pogorszyła wbrew pozorom logice ogólną sytuację całej Rosyi.

Zakotłowało się, zawrzało wszędzie jeszcze bardziej; zgłodniały lew ryknął jeszcze głośniejsze, a dla jego poskromienia i nastraszenia

## Ploteczki i Prawdy.

(FELJETON TYGODNIOWY).



(O tatusiu, co postękiwał... — „Czerwone bluzki“ czyli „Sabat czarownic.“ — Byk, a jaśnie oświecone filantropki. — Nóżki divetty i wdowa-głodomór. — Nie chcę paszportu do piekiel...)

Raptowna zmiana pokarmu nigdy nie odbywa się bez silniejszych wstrząśnień organizmu. Tem sobie tłómaczyć trzeba, że radosny fakt wprowadzenia języka polskiego do szkół, jako języka wykładowego, zgalwanizował naraz wszystkich, którzy w nawias tak rozstrzygniętej kwestyi wchodzą. Wszyscy są pełni radości niewątpliwej, a przecież... tu i ówdzie westchnie ktoś i ktoś trochę się skrzywi. Powód?... Okazało się, że... ten i ów tatuś musi naraz nabyć znaczną liczbę podręczników szkolnych w języku polskim.

Nie bierzmy tylko tych westchnień i mimowolnych skrzywień zbyt seryo. Wydanie naraz trochę większej gotówki rzadko bywa połączone z wydatną przyjemnością, zwłaszcza gdy przedmiot nabywany jeszcze na do-

bitek namacalnie nie leży tuż pod ręką, jeno ściśle abstrakcyjnie, ideowo, określonym być musi. Człowiek, wydający pieniądze, jest tem samem tak czegoś mało wyrozumiałym, że gdyby za tę sumkę czasową nabywał najistotniejsze szczęście, jeszcze na ten moment nie umie przybrać dość rozradowanej miny... *Homines sumus...*

Każda przytem reforma przynosi w zanadru pewne zdenerwowanie, wzruszenie, u tych, których dotyka. Ztąd mnie osobście nie zgorszył tatuś, który wynosząc z księgarni pakiet, ciężarny całą seryą nowych polskich podręczników, dla folgi swemu sercu trochę postękiwał. Czemu nie miał postękiwać, jeśli mu to ulżyło i było do zdrowia potrzebne?... Czarni pesymiści konserwatywni z takich bardzo mało lub nie nieznaczących faktów zaraz wyciągnęli druzgocące i złowrzące dla całego ogółu wnioski. O zła woli!... Ludźmi przecież tylko jesteśmy i po ludzku się przedstawiamy najczęściej. I to do tego gorszymi o wiele więcej, aniżeli nimi jesteśmy istotnie.

Wyrozumiałość jest zawsze cnotą...

Szkoda, że jej tak mało ma z zasady krakowski „Czas.“ Pokazało się to z artykułów, jakie zamieścił o ostatnim zjeździe „niewiast polskich“ w Krakowie. O zgrozo!... Zjazd nie

miał barwy zachowawczej, t. j. konserwatywnej; nie zagaiła go żadna ze zgrzybiałych krakowskich hrabin, nie pobłogosławiły fiolety, ani też żadna z prałackich pelerynek. To smutny fakt. Ale to jeszcze nie racya, iżby wszystko, co zjazd uchwalił, miało być nieodwołalnie trującym dla społeczeństwa, a tem samem stanowczo do odrzucenia, do skopania nogami. Trudno pochwalać światoburcze dążenia, jeżeli takie na zjeździe głoszone były, jednakowoż nie zawsze ma słuszność zasada: „Kto nie z nami, ten przeciwko nam!“ A jednak starszek „Czas“ tej zasady trzyma się uparcie. I to właśnie podaje silnie w podejrzenie szczerą i słuszną ocenę, z jaką się odnosił do samego zjazdu i jego uczestników.

Najlepiej zaś charakteryzuje to jego usposobienie wobec uczestniczek zjazdu sama nazwa, którą je zbiorowo ochrzcił. Otóż według nomenklatury „Czasu,“ zjazd był tylko zebraniem się „czerwonych bluzek.“ Nazwa dość dowcipna, gdyby nie była... krzywdząca! Jeszcze bezwzględniej zachowało się wobec omawianego Zjazdu jedno z zachowawczych pism warszawskich. Dla niego zjazd ten jest tylko „sabatem czarownic.“ To zacietrzewienie się pism konserwatywnych w tym wypadku jest takie wymowne...

chwycono się starej metody: wystawiono przeciw niemu żelazne widły i zaczęto strzelać, zamiast go nakarmić.

„Nie żałujcie patronów!... nie szcędźcie nahaiek!“ — odezwała się komenda, mająca stwierdzić... „rzeczywistą nietykalność osób,“ i to było krwawą ironią władz administracyjnych, praw wyjątkowych i repressyi, pozostawionych nieopatrznie, jak kwaśny, gryzący osad na dnie starej beczki, do której wiano świeże wino.

Kula i bicz są bardzo silnymi argumentami przemocy, ale nie przekonywującymi nikogo o słuszności tych, którzy biją i strzelają.

Na cześć wolności strzela się wprawdzie także, nawet z armat, ale — ślepymi nabojami.

Dzisiaj po tylu tragicznych przejściach, po rozlewie krwi, po nowych wstrząśnieniach i klęskach, które w powodzi łez pławią każdą szlachetniejszą duszę ludzką, wobec wypadków ostatnich kilku tygodni w każdym umyśle dojrzałym budzi się straszne, niepokojące pytanie: „Co dalej będzie?...“ A Sybilla dziejów zasłania oczy i milczy, wskazując ręką w stronę, z której jedynie powinna przyjść odpowiedź kojąca wszystkie bóle, uśmierzająca trwogę, budząca jeszcze raz zdeptaną nadzieję, ale już nie samem słowem obietnicy, lecz czynem dokonanym, — i to odpowiedź stanowcza, szeroka, energiczna, a przedewszystkiem rychła.

Z tej, czy owej strony jakaś odpowiedź przyjdzie, bo przyjść musi. Historia, jak natura — *horret vacuum*, nie znosi próżni; chodzi tylko o to, co ją wypełni, nowe wrzaski i ję-

ki, groźby i złorzeczenia, czy hymn zgody, miłości i pokoju?..

Tyle na dziś, — lecz na jutro chodzi o coś więcej, bo chodzi o to, czy ta Rossya uspokojona, zadowolona, wprowadzona na drogę postępu i rozwoju, ma się stać najpotężniejszym państwem słowiańskim, które odżywi Europę sokami świeżej, nieprzeżytej rassy, podniesie wyżej nad inne sztandar braterstwa, nieśmiertelnych ideałów narodowych i społecznych, czy spełni wielką misję Słowiańszczyzny, jako bohaterki przyszłości i wybawicielki ludów znękanych, czy też skępowana we własnych więzach pozostanie tylko ociężałym, nieruchomym kolosem, o którym Historia kiedyś powie, że zmarnował swe siły na szkodę ludzkości i własną krzywdą się ukarał.

Ale do tej ostateczności nie dopuści już chyba obudzony duch narodu i żywiołowych prądów, popychających Rossyę naprzód, nie cofnie żadna siła, żadne uroki i zaklęcia wstecznicstwa.

Nie zgasić świtów nowego dnia, choć chmury przysłonią wschód słońca!..

Przeżyliśmy dni straszne, — „jak Dant przez piekło, przeszliśmy przez życie,“ — ale chociaż się dokoła nas i nad nami srożyła burza, chociaż i serce, i umysł, i nerwy, i cierpliwość, i wiara popękać mogły, wytrwaliśmy bohatersko, przywykli do cierpień i męczarni ducha, nie naraziliśmy naszej godności narodowej i osobistej na szwank i z tych okropnych prób wyszliśmy zwycięzko, jak dotąd, a da Bóg, że i dalej tak będzie!..

aby wreszcie „dla osiągnięcia wszystkich tych celów kobiety wносиły do pracy zbiorowej bezwzględna ideę solidarności, przyczem tworzyły albo swoje wyłączne organizacje, albo też, o ile okaże się pożytek lub potrzeba, przystępowały do już istniejących organizacji męzkich.“

Musiałbym w ten sposób cały mój feljton jednostronnie samą tą kwestyą wypełnić, gdybym chciał wyliczyć szereg innych uchwał tego zjazdu, szczegółowych więcej, a odnoszących się do zreformowania wychowania szkolnego, krytykujących dotychczasowe systemy filantropii publicznej i ich sposób, a raczej jakość wykonywania; wreszcie surowo ocenić pierwiastek politycznego i społecznego szowinizmu, jakim zjazd istotnie przesadnie, a tem samem niepotrzebnie był zabarwiony. Ale czy forma mniej nam się podobająca, ma stanowić tem samem o bezwzględnem odrzuceniu treści, w jakiej nam podana została? W ten sposób postępując, trzeba by odrzucić nieraz najszczytniejszy ideał, najpiękniejszą ideę, dlatego, że nam ją podaje ktoś, ubrany nie we frak, albo też mówiący trochę za brutalnie dla nas brzmiącą dykcją.

Bez wątpienia, iż silne podkreślenia przez niektóre uczestniczki zjazdu przekonania, iż „katolicyzm w Poznańskim uważać trzeba,

Nie splamiliśmy naszych rąk ani bratobójczym mordem, ani grabieżą, ani gwałtem, umieliśmy na wodzy utrzymać podniecone namiętności i nie dopuścili w chwilach nawet największego wrzasku do walk podszeptanych nienawiścią rassową lub społeczną. Obyło się u nas bez pogromów i walk klasowych, bez dzikiego wyuzdania ślepej czerni, jak przystało na społeczeństwo dojrzałe, na naród domagający się szacunku i sprawiedliwości, na ludzi kulturalnych, w których dobre instynkty zawsze przeważać powinny nad złemi.

Takich tylko może miłować i błogosławić Ojczyzna, tacy tylko służyć Jej, bronić, żyć i umierać dla Niej są godni!

Miał słuszność Krasicki, kiedy wołał: „Święta miłości kochanej Ojczyzny, czują cię tylko umysły poczciwe!“

Może grzeszyć nasz rozum, może błędzić nasz niewyrobitny zmysł polityczny, ale nie grzeszy i nie błędzi nigdy szlachetne serce polskie, — nie zgrzeszyło i teraz, nie dało zgłuszyć w sobie uczuć „bojaźni Bożej i miłości ludzkiej.“

Ani nam za złe, ani za winę poczytać można, że w tym chaosie i labiryncie, w jakie nas wypadki ostatnich czasów wprowadziły, nie łatwo mogliśmy się zorientować i połapać od razu; — to już wiele, żeśmy się nie zgubili, nie rozproszyli i nie pobłądzili bez wyjścia.

Bez względu na różnice mnogich partyi, programów, haseł, metody postępowania, zasadnicze dążenia wszystkich nas zmierzają do jednego celu: do poprawienia swojej doli, do

Byłoby jednak najzupełniej usprawiedliwionem, gdyby Zjazd, tak bezlitośnie ochrzczony, naprawdę zebrał się ot, np. po to, ażeby uchwałami swemi usankcjonować wolną miłość, znieść węzeł rodzinny i małżeński, tytuły rodowe, gdyby uchwalili sprzedać drogą licytacyi pałace krakowskie utytułowanych filantropów, wraz z ich karetami, brylantami i zapasami drogocennych win, no i uzyskane w ten sposób pieniądze rozdać między krakowską nędzę. Ale nie!... Uczestniczki zjazdu naradzały się jedynie nad tem, jakby, tu użyjemy słów samego „Czasu“ —

„szukać dla kobiet nowych dróg zarobku,“ jakby „pośród przeróżnych zajęć wybierać takie, któreby kobiety stykały bezpośrednio z ludem w mieście,“

jakby „zakładając przedsiębiorstwa z udziałem kobiet wyłącznie opierać je na zasadzie kooperatywnej (o zgrozo!...), a potem rdzenie demokratycznej,“

aby „kobiety do zawodowej pracy wносиły przygotowanie dostateczne, nie niższe od tego, jakie przystępując do tej samej pracy mają mężczyźni, oraz uważały tę pracę — zawód, nie za tymczasowy okres, lecz za treść życia,“

aby „w każdym zawodzie kobiety żądały równej płacy z mężczyzną,“

jako zaporę rozwoju kultury i narodowości,“ trzeba jeno położyć na karb właściwej tak często kobiecie przesady; ale odrzucając plewę, mógł przecie „Czas,“ świątobliwie dostojny, z uznaniem spojrzeć na resztę ziarn mądrości, których „sabat czarownic“ w swych obradach i uchwałach tyle nagromadził. Taki objaw bezstronności świątobliwie oświeconej bynajmniejby mu nie zaszkodził..

Wierzyć trzeba stanowczo, iż załozde krakowskie Okopów św. Trójcy nie mogła się podobać bezwzględna krytyka, jakiej zjazd nie szczędził systemowi wykonywania czynków chrześcijańskiej filantropii przez sztab krakowskiego Arcybractwa Miłosierdzia i jego armię szeleszczących jedwabiami hrabin i pobożnych dewotek, gdy wykazywał, iż w Krakowie, tym naszym Rzymie, gdzie tyle kościołów, jest jednak bez porównania więcej krzyżującej nędzy, aniżeli we Lwowie, choć ten przez Kraków z emfazą „ateuszowskim“ nazywany bywa, gdy owo „zbiorowisko czerwononogich błuzek“ zachęcało jaśnie oświecone do skrócenia licznych godzin kontemplacyi u Fary lub w ocieplonej kaplicy OO. Zmartwychwstańców przy ulicy Łobzowskiej, a nakłaniał je do poświęcania części tego czasu na pouczające wędrówki po poddaszach, gdzie po lat trzy i cztery nądzarze na nieprzeście

uzyskania praw i swobód, bez których rozwój i postęp społeczeństwa, byt żyjącego narodu jest niemożliwy.

Prawa te i swobody zapowiedział wszystkim ludom państwa rossyjskiego Manifest Konstytucyjny.

Nie my sami to czujemy, że się nam one przy ogólnym podziale należą; wszystkie prawdziwie liberalne, wszystkie szlachetne i bezstronne żywioły rossyjskiego społeczeństwa, wszystkie uczciwe i swobodne głosy prassy rossyjskiej nam to przyznają.

Więcej nawet, — nigdy współczucie dla naszych losów, sympatya dla naszego narodu, oburzenie nad uciskiem i krzywdą polskich „braci i współobywateli,“ nie odzywały się tak gorąco, tak głośno i tak śmiało z głębi zbudzonej duszy rossyjskiego ludu, jak obecnie.

I to jest nowy i ważny nabytek w naszej sprawie, ważniejszy zapewne od gołosłownych pośredniczeń dyplomacyi europejskiej, któreśmy się niegdyś tak bardzo ludzili, a które tak ryzykownie przeceniali.

Taktyka naszego działania też powinna być: nie wysuwać się zanadto naprzód, nie uprzedzać wypadków, nie zapędzać się za daleko, ze zbyt wielkiem i nieogłędnem narażaniem własnych interesów, dobra całego kraju i poszczególnych warstw społecznych, bo sprawa polska nie jest sprawą wyłączną i oderwaną, ale organicznie związaną z ogólną sprawą konstytucyjną, z odrodzeniem całej Rosyi w duchu liberalnym i postępowym.

Uzyskajmy tylko to, czego dla siebie domaga się głos ludu rossyjskiego, co w ogólnych zarysach przyrzeka zapowiedź nowych Ustaw, a na drodze legalnej wolno nam będzie upominać się o dopełnienie tych praw i swobód, które naturalnym biegiem rzeczy rozwijają się coraz szerzej w każdym państwie konstytucyjnem.

Przedewszystkiem nie rozpraszaźmy sił, nie wszczynajmy przedwcześnie waśni partyjnych; nie marnujmy słów za wiele, gdy chodzi o wspólne działanie, nie spierajmy się o to, kto lepszy i kto bardziej zasłużony, bo to jeszcze nie czas rozrachunku i zapłaty, bo dzień naszej ciężkiej, znoej pracy nie skończony, — ale w tem, co na dzisiaj stanowi rdzeń wszystkich programów i hasel, w dążeniu do pozyskania swobody obywatelskiej i praw rozwoju i postępu na gruncie państwa konstytucyjnego połączmy się, jak jeden mąż.

„Wpierw dla przyszłości położmy fundament trwalszy, a w ręku Boga i ludów — dziejów ciąg dalszy...”



## OD REDAKCYI.



Z powodu powszechnego bezrobocia „Bluszcz“ od numeru 44-go z dnia 29-go Października nie ukazywał się w druku. Obecnie, chcąc wynagrodzić stratę naszym czytelnikom i czytelnikom, wydamy po dwa numery w jednym powiększonej objętości.

lanych tapczanach legują, gdzie wytarte kołdry do ran niegojących się przyskorupiają się, gdzie pijany ojciec, wracając do izdebki z chorą żoną i sześciorgiem głodnych dzieci wielkie łamanie stołków urząda i spiekłemi wargami Opatrzności bezsilnie urąga...

Zapewne, że takie „upomnienia“ ze strony targowiska św. Pankracego przyjemni „Czasowi“ być nie mogły... A jednak... w tem miejscu przychodzi na myśl to, co wielki Jezuita Martinow powiedział o proroku z Jasnnej Polany, tym zdecydowanym przeciw wrogu Kościoła katolickiego:

— Tołstoj, to jedna z najwznioślejszych dusz; niestety, nie jest chrześcijaninem, ale wykradł nam to, co mamy najpiękniejszego: miłość bliźniego...

Pomnąc na taką przypowieść, sędziwy tetryk z ulicy św. Tomasza mógł wiele przebaczyć „sabatowi czarownic,“ choć go tak drażnił kolor „czerwonych bluzek.“

Zarzut z tem wszystkiem przesładowczy Kościoła katolickiego bardzo łatwo ściągnąć jest na swą głowę. A już zwłaszcza w naszej płyciutko pobożnej Warszawie. U nas, gdzie na początku kroniki z takim przekonaniem w każdym piśmie porządek codziennych nabożeństw po kościołach drukowany bywa, niemniej można czytać w tej samej kronice

o oburzających np. summach, jakie ludzie wygrywali i przegrywali w przeddzień w „totka“ a jeszcze gorzej o efektach ładnie toczonych odnoży pani Bogorskiej czy Łaskiej, co się tak „ładnie rysowały w trykotach“ (autentyczne!...)

Mniejsza jednak o takie zestawienie. Ale te same pisma, drukujące szanującym się i łatwo czytelnym drukiem o wspaniałościach nóg p. Bogorskiej, „effektownie rysujących się w trykotach,“ wstydliwie za to mżącym się maczkiem donoszą w trzech lub czterech rzędkach o takiej, jakiejś tam 18-sto letniej dziewczynie, co „zażyła karbolu z braku środków utrzymania,“ albo o matce trojga dzieci, co wyczerpana walką o znalezienie dla nich kawałka chleba, w obłędnej rozpacz „wyskoczyła oknem na bruk, poczem ją w stanie dość groźnym odwieziono do szpitala św. Rocha...“ To już potworne!...

Ale trudno... Pismo jest fotografią życia, w życiu zaś co krótko napotykamy wstrętne kontrasty zbyt kownego bogactwa i śmiercionośnej nędzy. Ale filozoficznie oceniając ten fakt, nauczymy się bodaj odróżniać krytykę osób od krytyki instytucyi.

Podpisany np. bardzo głęboko się zastanawiał nad organizacją Warsz. Tow. Dobroczynności. Z przestrachem odczytywał cyfry

TEODOR JESKE-CHOIŃSKI.

# SAD BOŻY.

OBRAZEK Z XII-go STULECIA.



(Ciąg dalszy).

## IV.

W zamku narbońskim w więzieniu czekała pani Azalais na wezwanie sędziów. Przywieźli ją tu panowie de Gruissan, aby odniosła karę za zbrodnię niesłychaną, za rozmyślnie mężobójstwo.

Tak ją Bertrand de Sizean oskarżył.

Wykwintną damę, przywykłą od urodzenia do bogatych pałaców, do puchowych poduszek, zamknięto w kamiennem pudle, w którym zaledwie jeden człowiek mógł się ruszać swobodnie, i rzucono ją na kamienne łożo, zasłane garścią słomy. W drodze łaski dopuszczano do niej raz na dzień starą Tiburgę i piętnastoletniego pazia, Gastona, którzy przyszli za nią z Normandyi.

Właśnie znajdowali się u niej jedyni jej przyjaciele, jedyni swoi, przypominający jej dom opiekuna i ziemię rodzinną. Stara nianka objąwszy jej kolana, szlochała z cicha, paż, jasnowłosa chłopczyzna z dużemi, niebieskiemi oczyma, weisnął się w framugę drzwi, przygryzając usta. Gdyby był większym, silniejszym, gdyby miał prawo rzucić rękawicę pod nogi tego rudego zdrajcy i stanąć z nim na ziemi udeptanej... Ale małoletniego pazia nie dopuści nikt do walki mężów...

— Że też moje stare oczy patrzeć muszą na taką niesprawiedliwość, na taki srom! — lamentowała Tiburga. — Moja Azali, moja pta-

tysięcy i tysięcy, jakie pochłania co rok strupieszala administracya tak ciężko scentralizowanej machiny... I tysiące rubli idzie tam w kieszenie różnych osób, za to jedynie, by jeno każdy grosz biurokratycznie notowany bywał, a gdzie równocześnie nieraz kilkudziesięciu kopiejek braknie tej olbrzymiej machinie, gdy chodzi o kupienie lekarstwa lub koszuli na grzbiet łazarza z Tamki lub Solca...

Nieśmiało podpisany długo rozmyślał o szeregu szczegółów, jakie mu tu i ówdzie opowiadano o sposobie urzędowania Warsz. Tow. Dobroczynności, a jednak bałby się wyciągać jakiegokolwiek bądź ztąd wnioski, a tem mniej z niemi w tymże występować feljetonie. Po co, ma być żywcem ukamienowanym, po co ma być nazwany bezbożnikiem i już na tym padole płaczu nieodwołalnie otrzymać pasport tam gdzie koleje nigdy zastanawiane nie są dla ruchu, a gdzie po przybyciu wysiada się na wieczny płacz i zgrzytanie zębów...

Pięknym jest pas słucki, gdzieś z horyzontów idei kuszący, lecz miłszym pas przyrządny pływackiego, gdy od utonięcia w złości ludzkiej chroni i asekuje.

Parol.



szyna, moja jedyna pociecha w więzieniu, zamknięta, zhańbiona, jak łotrzyca uliczna!...

— Łzami nie wybawicie mnie z nieszczęścia, w które mnie kłamstwo tego szatana w ludzkiej postaci wtrąciło,—odezwała się pani Azalais.—Bezmyślnej podłości nie uproszą, nie przekonają łzy najgorętsze.

— Mów, zrenico moich oczu, co mamy uczynić, aby cię wydobyć z tej klatki straszliwej. Uczynimy wszystko, co będzie w naszej mocy, oddamy krew własną za ciebie, jeżeli jej twoi oszczercy zażądatają.

— Krew wasza nie otworzy drzwi mojego więzienia. Jedynie tylko miecz odważnego rycerza może mi wrócić cześć i wolność.

— Rzucę się do stóp najwaleczniejszych panów wice-hrabstwa i płaczem serdecznym błagać będę dopóty, dopóki nie wyproszę dla was opieki rycerskiej.

— Żaden miecz narboński nie podniesie się w mojej obronie. Jesteśmy tu obcy, nikt nam nie uwierzy. Nie w wice-hrabstwie należy szukać onego miecza zbawcy, jeno w naszych stronach rodzinnych, w dalekiej Normandji. Żyją tam jeszcze powinni i przyjaciele mojego pana ojca, którzy się ulitują nad pohańbieniem swojej krwi.

Stara Tiburga zerwała się z kolan.

— Jezu, Jezu, że mi też to jedyne zbawienie nie przyszło zaraz na myśl — mówiła, chwytając płaszcz. — Na skrzydłach rozpaczycy polecimy z Gastonem do Normandji, do bram wszystkich zamków stuknąć będziemy, o pomoc prosząc. Wrócimy z mieczami odważnymi, o, wrócimy niewątpliwie! Gaston, padnij pani do nóg, ucałuj skraj jej sukni; spiesz się, jedziemy natychmiast.

— Zaraz jechać nie możecie; musicie poczekać na wyrok sądu, abyście wiedzieli, co powiedziec w naszych stronach. I pismo ode mnie weźmiecie.

W zamku zgrzytnął klucz, na progu więzienia ukazał się burgrabia.

— Prześwietny sąd wice-hrabiny Ermengardy czeka na Waszą Miłość — odezwał się, otwierając drzwi szeroko.

Prześwietny sąd udzielnej wice-hrabiny Ermengardy czekał na niezwykłą zbrodniarkę w wieży tortur, w sali śledczej. Na krzesłach poręczowych, ustawionych na podwyższeniu, zasiedli: Piotr de Lara, siostrzeniec panującej wice-hrabiny, arcybiskup Narbonne, Pons d'Arsac i pan Odon de Sabran. Na ławach kamiennych, ciągnących się wzdłuż ścian, zajęli miejsce krewni i przyjaciele zabitego.

Same tylko spojrzenia nieżyczliwe powitały panią Azalais, kiedy stanęła przed sędziami, nikt bowiem z obecnych nie wątpił o jej winie.

— Rycerz Bertrand de Sizean oskarża was o współudział w zabójstwie pana Rajmunda de Gruissan — zaczął hrabia de Lara głosem surowym.— Czy przyznajecie się do winy?

Nie odrazu odpowiedziała pani Azalais.

Stała przed sądem z głową opuszczoną, z oczyma, błędzącymi po posadzce, sparaliżowana wstydem i swoją niemocą. Wszystkich tych panów, którzy spoglądali teraz na nią z pogardą, znała ze stosunków dworskich, jeszcze niedawno przez nich szanowana, czczona, jako wzór uczciwej, nawet podejrzeniem

nie splamionej małżonki. Było ich tylu, a ona jedna; oni mieli siłę, a ona tylko swoją niewinność. Uwierzą-li jej słowu?

Dopiero kiedy hrabia de Lara powtórzył pytanie głosem gniewnym, przemogła w sobie wstyd niewieści, zrozumiałszy, że musi być odważną, jeżeli niema zginąć haniebną śmiercią mężobójczyni.

Podniosłszy głowę, odrzekła:

— Spójrzycie na mnie, szlachetni panowie, na moją twarz, zbieloną troską, na moje oczy, przygasłe łzami wstydu i serdecznego bólu. Czy tak wygląda mężobójczyni? Przed waszym sądem sprawiedliwym staowało już wiele zbrodniarek. Porównajcie je ze mną i odpowiedzcie sobie sami, czy mogę być winną? Pan Rajmund był mi kochającym, dobrym, względnym małżonkiem, nie dawał mi nigdy powodu do niezadowolenia, a któraż kobieta podnosi rękę na kochającego, dobrego, względnego małżonka? Tak nierozumnej i niekzemnej niema w całym wice-hrabstwie przesławnej pani Ermengardy.

— Mówicie, że niema w całym wice-hrabstwie tak nierozumnej i niekzemnej niewiasty, któraby podniosła rękę na dobrego małżonka — mówił hrabia de Lara, — ale niema także w naszej ziemi tak bezbożnego rycerza, któryby oskarżył kłamliwie damę szlachetnie urodzoną o zbrodnię tak straszną.

Szmer zadowolenia na ławach, zajętych przez krewnych i przyjaciół pana Rajmunda, dziękował hrabiemu. Lecz wyraźna niechęć przewodniczącego sądu nie zatrwożyła oskarżonej, która zdawała sobie dokładnie sprawę z ważności chwili. Wiedziała, że od przytomności umysłu zależy jej życie. Na płonącej stosie ciśnie ją prawo, popioły jej rozrzucił kat na cztery strony świata, jeżeli się podda sądowi ludzkiemu.

— Wielu pasuje obyczaj na rycerzów, ale nie wielu wybiera św. Jerzy do swojej służby szlachetnej,—broniła się.— Spójrzycie dokoła siebie, dostojni panowie, i policzcie w stanie rycerskim tych, którzy zasługują na miano szczerych rycerzów. Grzeszne namiętności ludzkie bywają potężniejsze od najlepszych zamiarów, od przysięg nawet uroczystych. Gdyby biały pas i złote ostrogi udzielały cnót rycerskich, nie byłoby zdrajców, kłamców, przeniwierców i łupieżców. A wy, prześwietni sędziowie, przed których obliczem staje niekzemność ludzka tak często naga i ohydna, wiecie bardzo dobrze, że pas rycerski nie uszlachetnia nigdy nieszlachetnego.

Sędziowie spojrzeli po sobie. Ocierając się ciągle o grzech ludzki, słuchali w milczeniu, nie mogąc przeczyć. Ale do czego zmierzała ta szczególna oskarżona, która zamiast się bronić, zdaje się oskarżać?

Pani Azalais mówiła dalej:

— Któż z was, szlachetni panowie, nie widział lubieżnika, którego zawiedzione nadzieje zmieniły w mściwego węża? Zemsta podrażnionych a niezaspokojonych chuci uderza skrytobójczo, posługując się kłamstwem, oszczerstwem.

— Chcecie przez to powiedziec, że rycerz Bertrand de Sizean oskarżył was niesłusznie, powodowany zemstą?—odezwał się arcybiskup Narbonne.

— Rycerz de Sizean skłamał bezbożnie ukąsił mnie podstępnie, jak pies...

Groźny pomruk przebiegł po ławach.

— ...Jak zły pies, skarcony ręką pana — rzekła pani Azalais z głową podniesioną.— Oskarżam tego złośliwego psa o rozmysłne kłamstwo, o potwarz zbrodniczą i wzywam kary wszechmocnego Boga na jego głowę niekczemną.

Teraz podniosła się na ławach burza wrogich okrzyków.

— Milcz, wiarołomna suko! Na stos z nią!

Ale nad burzą namiętnej wrzawy zapanał potężny głos hrabiego de Lara:

— Uciszcie się! Niewiasta stoi przed sądem. Pomnijcie na przysięgę rycerską, która wam nakazuje obronę wdów, sierot i słabych.

Oskarżenia pani Azalais słuchał Bertrand de Sizean z uśmiechem drwiącym. Był pewnym zwycięstwa, wiedział bowiem, że żaden rycerz wicehrabstwa nie ujmie się za obcą, za przybłądą, w sprawie przeciw ziomkowi. Należąc do możnego rodu, posiadał liczne kolligacje i stosunki. Któż chciałby się narazić potężnemu domowi, który miał do rozdania bogate lenna i rozporządzał tylu mieczami, że mógł się strasznie zemścić? Jeden tylko arcybiskup, pan możniejszy od samej wice-hrabiny Ermengardy, mógł lekceważyć zemstę Sizeanów. Słuchał on bardzo uważnie obrony oskarżonej, wpatrując się badawczo w grę jej rysów. Niedługo gorliwy spowiednik, umiał czytać w twarzach ludzkich, odgadywać prawdę ukrytą. Bertranda znał, jako podstępne go tchórza i rozpustnika, na którego czyny bezecne skarżono się powszechnie. Przeto kazawszy mu stanąć przed sobą, spojrział mu prosto w twarz i rzekł:

— Panie de Sizean, czy podtrzymujecie swoje oskarżenie? Zastanówcie się dobrze! Może omyliło was ucho, zawiodło oko. Godziwiej rycerzowi przyznać się do błędu, niż splamic sumienie kłamstwem zuchwałem. Spójrzycie na swój biały pas, na swoje złote ostrogi. One przykazują wam pod utratą czci mówić zawsze prawdę.

Przenikliwy wzrok kapłana, który wdzierał się aż do wnętrzości, stropił, zaniepokoił oszczercę. Nie śmiejąc podnieść oczu na arcybiskupa, odparł głosem niepewnym:

— Nie cofam oskarżenia, widziałem gacha tej zbrodniarki, słyszałem ich znowę.

Arcybiskup zmarszczył brwi. Znał już prawdę istotną; oko spowiednika odgadło kłamstwo.

— Przypominam wam, Bertrandzie de Sizean, że oskarżyciel, przekonany o oszczerstwo, rzucone na damę szlachetnego stanu, traci cześć rycerską i ginie śmiercią haniebną.

Z gniewem złośliwego kundla, trzymanego na obroży, warknął oskarżyciel:

— Znam prawa, obowiązujące stan rycerski!

— Jeżeli znacie prawo, to wiecie, iż żadnemu sądowi nie wolno potępić oskarżonego, bez wysłuchania świadków. Gdzież są wasi świadkowie?

— Skrytobójcy nie umawiają się przy świadkach.

— A jednak twierdzicie, że byliście świadkiem ułożonej pomiędzy panią de Gruissan

a jej kochankiem zbrodni. Dlaczego tylko wy? Mogli być także inni świadkowie.

Sluchacze na ławach zaczęli się niecierpliwie.

— Nam wystarczy zapewnienie rycerza Bertranda — odezwał się jeden z krewnych pana Rajmunda. — Prosimy o wyrok!

— Postanowienie, czy ludzie, czy sam Bóg sędzić będą oskarżoną, nie należy do was! — rzekł arcybiskup, i nachyliwszy się do hrabiego de Lara, przekładał mu coś długo głosem stłumionym.

Bertrand de Sizean rozglądał się niespokojnie po sali. Sprawa przybrała obrót, którego sobie nie życzył, gdyby się bowiem trybunał zgodził na sąd Boży, musiałby stanąć do walki z obrońcą pani Azalais, a on wojował chętniej podstępny językiem, niż mieczem. Spodziewał się, że sędziowie wicehrabstwa nie dopuszczą do niebezpiecznej gry sądu Bożego, że skażą panią Azalais na podstawie jego zeznania. Przeto zadrzał trwogą tchórza, kiedy hrabia de Lara, podniósłszy się z krzesła, wygłosił:

— Zważywszy, że rycerz Bertrand de Sizean nie może poprzeć swego oskarżenia, zwróconego przeciw pani Azalais de Gruissan, świadkami, jak się tego prawo domaga, zważywszy, iż nie wolno omylnej sprawiedliwości ludzkiej sędzić tak ważnej sprawy na podstawie samego tylko zeznania oskarżyciela, — najwyższy trybunał wicehrabstwa narbońskiego postanawia złożyć wyrok w ręce wszystkowiedzącego Boga. By zaś pani Azalais de Gruissan, obca w naszych stronach, miała czas uprosić w swojej ziemi rodzinnej któregoś z powinnych lub przyjaciół o zastępstwo rycerskie w szrankach, co prawo i obyczaj pozwalają niewieście, trybunał odkłada sąd Boży aż do wtorku po Zielonych Świątach. Do tego czasu zostaje pani de Gruissan pod nadzorem przewielebnego arcybiskupa Narbony, który ręczy swoją osobą i całym swoim mieniem, iż dostawi ją w dniu oznaczonym na plac walki albo kaźni. Tak postanowiliśmy w imieniu Trójcy św., Amen.

Z niemiem podziękowaniem wdzięcznych oczu osunęła się pani Azalais do stóp arcybiskupa, odgadłszy w nim twórcę postanowienia sądu. Jego potężna ręka osłoni ją teraz przed złością Sizeanów i wydobędzie ją z klatki więziennej. Z ufnością nieszczęśliwego dziecka garnęła się do jego kolan, a on, pochyliwszy się nad nią, dotknął ręką błogosławiąc jej głowy, mówiąc:

— Ufaj Bogu. Jeżeli jesteś niewinną, sędzia najsprawiedliwszy nie pozwoli cię szańbić i skrzywdzić.

Ufała... Miała przed sobą dwa miesiące, dosyć czasu, aby Tiburga i Gaston zanieśli do Normandyi wiadomość o jej nieszczęściu i wrócili z odpowiedzią pomysłną. Bo wierzyła, że powinni jej domu nie opuszczać jej w tem trudnym położeniu, że któryś z nich przybiegnie i ukarze mściwego oszczercę. A może wicehrabia Roger nie odpłynął jeszcze do Ziemi Świętej, może chciał się przedtem pożegnać z zamkiem swoich przodków... Gdyby Tiburga jego znalazła... Serce pani Azalais uderzyło młotem pod suknią wdową.

Nie widziała w tej chwili nic, co się dokonało niej działo, modląc się całą zdeptaną du-

szą o powodzenie wyprawy Tiburgi. Jak przez sen słyszała głos hrabiego de Lara, który mówił:

— A wy, rycerzu de Sizean, oddajcie w ręce moje rękawicę i wymięcie zakładników swoich, jako pewność, że staniecie we wtorek po Zielonych Świątach na miejscu oznaczonym, aby się odać na sąd Boga.

Ze źle ukrywanym gniewem zdjął rudy rycerz rękawiczkę z prawej ręki i oddał ją hrabiemu. Dwóch panów de Gruissan uczyniło to samo, ofiarując się służyć mu, jako zakładnicy.

— Gdybyście nie dotrzymali słowa — mówił jeszcze pan de Lara, — albo gdybyście usiłowali zbiedz, będziecie sądzeni i karani, jako zwykli zbrodniarze.

(Ciąg dalszy nastąpi).



## Bozka Królewna.



Cała w błękity niebios odziana,  
W światłości dziwnej cała skapana.  
A otaczały Jej Bozka głowę —  
Jak aureolą — warkocze płowe.  
Szła cicha, smutna — i tak powiewna —  
Bozka Królewna.

Maleńkie stopy swe w lilie kładła,  
Gdzie przystanęła, albo usiadła,  
Wznosiła drobne, przejrzyste dłonie —  
Westchnienie słała w błękitów tonie...  
Szła cicha, drżąca i tak powiewna —  
Bozka Królewna.

Mijała góry, lasy i pola,  
I tam, gdzie ludzka lkała niedola  
Swe pocałunki i swe uśmiechy,  
Pod smutne, nędzne niosła je strzechy.  
Szła cicha, łzawa i tak powiewna —  
Bozka Królewna.

A przez tęczowe, ranne rosy  
Szły rozmodlone ku Niej głosy  
I takie rzewne pieśni lkały...  
Niósł je tym śladem Zefir mały,  
Gdzie szła promienna i powiewna —  
Niebios Królewna.

Chyliły główki polne kwiaty:  
Stokrotki, dzwonki i blawaty,  
Lecz omijała stopy swemi,  
By ukwieconej nie tknąć ziemi —  
Ta dobrotliwa i powiewna —  
Kwiatów Królewna.

Szła w majestacie postać wiotka,  
Pobladała Jej twarzycka słodka,  
A lazrowe Jej oczęta  
Zemgliła żalu lezka święta;  
Taka szła trwożna i powiewna —  
Biednych Królewna.

Wiatr niósł przez pola ciche jęki,  
W ślad widmo biegło ludzkiej męki...  
Zakryły słońce czarne chmury,  
Ryknął złowrogi grom ponury...  
Poszły ku niebu: Skarga rzewna  
I sere Królewna.

M. Romanowa.

## Reforma małżeństwa.



Żyjemy w epoce nie tylko czynu, lecz i wielkich słów. Wiemy i czujemy głęboko, że nasze socyalne warunki i stosunki jedne już wielkiej uległy zmianie, inne znajdują się w przededniu zmian i reform, a w pragnieniu gorącym owych zmian, nie zawsze reformatorem posiadają cierpliwość i czas, aby na stopniowy rozwój postępu czekać, w stosunkach społeczno-ekonomicznych, czy społeczno-etycznych, tak samo, jak w stosunkach państwowych, pragną zmian radykalnych, rewolucyi, nie ewolucyi, jednym skokiem to, co stare pozostawiają za sobą, nie sprawdzwszy gruntownie istoty tego, co nowe. Jak chorągiew niosą przed sobą wielkie słowo, słowem tem zdobywają nowych zwolenników, a gdy pierwszą zapórę przy „nowej“ drodze obalą, zdaje im się, że już bez przeszkód do jasnej, wielkiej przyszłości prowadzi. Nie zwracają na to uwagi, iż ludzie, którzy ciągną za nimi w większości, pozostają starymi, iż im nie swojo na nowym gruncie, iż może zatęsknią do dawnego.

Jako prawdziwie miłująca wolność i postęp, z boleścią widzę nieraz, jak tego rodzaju pionierstwo postępu krzywdę mu tylko przynosi.

Jednym z owych wielkich słów, które się coraz częściej słyszy, jest „reforma małżeństwa;“ wypowiedane ono było w różnych obozach, ostatnio zaś przyswoił je sobie ruch kobiecy.

Jest to rzeczą zupełnie naturalną, że kobiety, których istota, z natury swej, miłości i macierzyństwa pragnie, niezmiernie żywe okazują zajęcie dla wszystkiego, co się odnosi do jakichkolwiek zmian w zestosunkowaniu prawnych form małżeństwa. Zajęcie to nie jest bynajmniej nowem. Odkąd w kobiecie zbudził się myślący człowiek, pragnie ona, musi pragnąć reformy w sprawach małżeńskich, które ją zbyt bezwzględnie poddają władzy męża. W Niemczech, gdzie ruch kobiecy obudził się nierównie wcześniej, aniżeli u nas, i gdzie przysługuje wszystkim swoboda zebrań, kobiety na wielu wiecach i posiedzeniach rozbierały konieczność reformy w małżeństwie, wyrażały swój protest głośny w prósbach do władz odnosnych, w artykułach umieszczanych w poczytnych pismach i w broszurkach specjalnych. Dotychczas zdobyły nie wiele. Stanowisko kobiety odnośnie do jej praw w rodzinie uległo wprawdzie pewnej zmianie na lepsze, lecz wiele jeszcze pozostaje do życzenia. Atoli to, co pozostaje do życzenia, da się osiągnąć drogą długiej walki przeciw zastarzałym przesądom, drogą powolnej może, ale ogólnej zmiany zapatrywań i stosunków; nie należy zapominać, że prawo, jako już nowy paragraf prawny, bywa zazwyczaj obaleniem ogólnego, dawnego poczucia prawa, nie zaś wznoszeniem przyszłego ideału prawnego. Zmiana pojęć musi poprzedzić zmianę praw.

Kobiety, stojące na czele ruchu kobiecego zagranicą, podjęły pracę uświadamiania o konieczności zmiany pojęć, ujęły ją celowo w rękę

i w licznych odczytach, artykułach, broszurach, wykazywały niezmordowanie, że prawa kobiety w rodzinie nieodzownie muszą ulegać reformie. Nie przestawały wyjaśniać ogółowi, jak krzyczącą niesprawiedliwością względem kobiety są: prawo przysługujące mężczyźnie zarządzania majątkiem, wniesionym przez żonę i czyniące z żony bezwłasnowolną istotę, gdy nawet o jej osobiste dobro chodzi, — ograniczenie swobody kobiety, bądź to w interesach pieniężnych, czy jakichkolwiek prawnych, przewaga przysługująca ojcu nawet wtedy, gdy mąż i żona żyją rozdzieleni i mąż uznany został za stronę winną, — prawo rozporządzania majątkiem dzieci służące ojcu, choćby sprawdzone zostało, że ojciec ów jest pijakiem i marnotrawcą. Rozbudzony ruch kobiecy objął też opieką swoją matki niezamężne i biedne, nieprawe dzieci, nie mógł pozostać nieczułym na straszną niesprawiedliwość, jaką jest niezaprzeczenie prawo orzekające, iż dziecko niesłubne nie ma żadnych praw do swego ojca. W tym kierunku stowarzyszenia, opiekujące się matkami, oraz przytulki i różne zakłady dla opuszczonych dzieci, uczyły bardzo wiele.

Nie dziw jednakże, iż drobiazgowa i mozolna praca wydaje się niektórym, do walki stającym, zbyt powolna. Oto np. dr. Anita Augspurg w otwartym liście, który wiele pobudził komentarzy, umieszczonym w niemieckim czasopiśmie „Europa,“ rzuciła rękawicę wszystkim opornym i wahającym się i na zebraniu członków postępowego związku kobiet, przeprowadziła dyskusję o reformie małżeństwa.

Dr. Augspurg, w wyżej przytoczonym liście, przedstawia jako środek, zaradzający złemu „małżeństwo wolne.“ Idzie nawet tak daleko, że kobiecie, która zawiera związek małżeński podług utartych, ogólnie przyjętych zasad, i form, odmawia poczucia godności. W liście jej brzmi dosłownie: „według mego zdania, dla kobiety z godnością, znającej prawne przepisy, obowiązujące ją, jako prawą małżonkę, niepodobieństwem jest zawrzeć legalny związek małżeński. Dla kobiety, pragnącej żyć samodzielnie, mającej szacunek dla samej siebie i chcącej zachować szacunek wybranego przez siebie człowieka, pozostaje tylko związek w miłości wolnej.“ I dalej dochodzi do wniosku, że: „lepiej dla kobiety znieść każde inne (?) męczeństwo, aniżeli wyrzec się swego ja w tak ustanowionem małżeństwie, jakie obecnie uważane jest za prawne i właściwe.“ Ma nadzieję, że przez małżeństwo wolne, „most w przyszłość rzucony zostanie.“ Kończy zaś: „Wyobraźmy sobie, że sto par małżeńskich odrzuci naraz związek prawny i to par, złożonych z ludzi poważnych znaczeniem i wartością, albowiem tylko tacy będą mieli uciechę odwagę tak postąpić, czy przykład ten, dla przeciętnych ludzi nie otworzy wrót do zmiany obowiązujących przepisów małżeńskich, nawet na prawnym, legalnym gruncie.“

Apologia wolnej miłości, jako ideału związku małżeńskiego nie jest nową. Jakób Mesnil występuje w obronie tego pojęcia równie gorąco i równie poważnie, jak Edward Carpenter, znany tłumacz Nietschego, dr. Eugeniusz Schmidt z Pesztu, widzi w związku

wolnej miłości najwyższą socjalno-społeczną formę małżeństwa, Ellen-Key — najdoskonalszą spójnię wybranych dusz.

Atoli wszyscy ci reformatorowie stawiają teorie swoje dla ludzi dalszej przyszłości, dla postępowych, wyjątkowych istot o zmysłach ujętych w karby przez wychowanie i siłę panowania nad sobą, o sumieniu niezmiernie czułym i subtelnie rozwiniętym poczuciu obowiązku i odpowiedzialności. Jakób Mesnil, anarchista, stawia wolne społeczeństwo, jako urzeczywistnienie swoich teorii i przepowiada tym, którzyby już dziś chcieli iść tą drogą „gorącą, nieustanną, zaciętą walkę.“ Socyolog, dr. Władysław Gumplowicz w broszurze swej — „Małżeństwo i wolna miłość“ rozwija idee socjalistycznego społeczeństwa, wychowującego dzieci wspólnie, przy pomocy państwowych urzędów; Ellen Key buduje nowe ideały wspólnego życia dwojga dobranych istot, — lecz, jak rzekłam, wszystkie te wolne duchy widzą w oswojeniu małżeństwa od wszelkich form narzuconych ideał dalekiej bardzo przyszłości.

Inaczej dr. Anita Augspurg. Dziś już przedstawia wolny związek, jako rodzaj małżeńskiego strajku i środek „prowadzący do otrzymania praw dla nagląco koniecznej reformy.“ Dr. Augspurg nie myśli o tem, że stawianie oporu przeciw istniejącemu prawu przez garstkę ludzi nigdy prawa nie obaliło, przeciwnie, wzmocniło jeszcze represalie przeciw nieznanym prawom. Ten i ów wzruszy ramionami nad dziwnem marzycielstwem, ogół zapatrywać się będzie na to ideowe postępowanie ze strony brzydkiej, niemoralnej, jeżeli zaś jaki lekkomyślny człowiek pójdzie za tym przykładem, uczyni to w sposób lekkomyślny, i w końcu będziemy mieli kilka setek konkubinatów więcej, prawa zaś kobiety, zamiast podnieść się, obniżą się, osłabną, albowiem przy obecnych jeszcze stosunkach i warunkach bytu, wobec dotychczasowych uczuć ludzkich, elastyczności etyki, sposobu myślenia, potrzebne są pewne prawne przepisy, któreby namiętności ludzkie utrzymywały w korbach. Wolne owe związki niewątpliwie zbyt często kojarzyłyby i rozwiązywały nagle powzięte i równie nagle wygasłe uczucie, a stroną, dźwigającą następstwa, czyli: dźwigającą cały szereg cierpień, byłaby kobieta. Mężczyzna, po zrzuceniu z siebie przykrości nieudanego „pożycia,“ mógłby bez żadnej dla siebie usterki nowe rozpocząć istnienie, kobieta z próby takiej zawsze wyjdzie z minusem, tak moralnym, jak i fizycznym. Taki już los, takie przeznaczenie kobiety, że w grze uczucia, miłości, ona większą składa stawkę i doznana stratę, czy krzywdę, żadne rozumowanie nie zatra, żadne życiowe cele nie wynagrodzą. Rozumie się, że i w prawie zawartych małżeństwach nie brak rozczarowań gorzkich, a wierność dochować sobie mogą silne, szlachetne charaktery, bez przysięg przed ołtarzem, lecz w chwili niemocy i niedoli przyjmować można wierność od drugiej istoty tylko wtedy, kiedy się ma do tej wierności jawne, rzeczywiste prawo. Opierając się zaś na konkretnym przykładzie, powiedzmy, że: np. nieuleczalnie chory człowiek nie miałby prawa utrzymać wolnego związku, a legalny związek małżeński utrzymać może, ponieważ

w tym ostatnim razie obie strony jawnie zaprzysięgły sobie, iż się do śmierci nie opuszczą i ponieważ prawo taką opiekę uświęca.

A dzieci? Dotychczas tylko prawe małżeństwo stanowi grunt, na którym słaba roślina-dziecko zdrowo wyrosnąć może. Zapytajmy sierot, spytajmy dzieci opuszczonych, co to jest nie mieć rodzicielskiego domu! A w tym rodzicielskim domu dziecko chce mieć te same prawa do miłości ojca, jakie ma do miłości matki. Na ojcu zaś powinny ciążyć te same obowiązki i troski, jakie obciążają matkę, bo tylko przez siłę swych obowiązków mężczyzna staje się pieczołowitym i dobrym ojcem.

Zanim otrzymamy zmianę praw małżeńskich, starajmy się z dotychczasowej modły wyzyskać wszystko, co nas, a przez nas innych uszczęśliwić może. Dopiero gdy nam się to powiedzie, otrzymamy nowych ludzi, którzy do reformy lepiej, niż my, przygotowani będą.

Dużo błędzimy przeciw małżeństwu i dlatego niejednemu wydaje się, iż błędem jest małżeństwo, którego trwanie i to trwanie wyłączne ma sięgać do końca życia, lecz to nie wina czy wada instytucji, lecz wina naszego pojmowania. Droga od wspólnych praw gromady do małżeństwa i praw matki była bardzo długa; jeszcze dłuższa była od poligamii do monogamii i prawa ojcowstwa; małżeństwo i prawa męża i żony, prawa matki i ojca tak urownane, że mężczyzna i kobieta żadnych, jedno przed drugim nie będzie miało przywilejów — to ideał przyszłości.

Za granicą kobiety uzyskały już pewne ustępstwa od praw dawniejszych, tak odnośnie do swobody woli własnej, jak i co do kwestyi majątkowych; miejmy nadzieję, że i u nas przyjdzie czas, w którym przestaną być przy boku męża uważane wiecznie za niepełnoletnie, bezwłasnowolne dzieci.

Pragnę doczekać się jak najrychlej chwili, w której zmieniona zostanie niesprawiedliwa, krzycząca nierówność praw, przemawiających zawsze na korzyść mężczyzny, ale właśnie z myślą o tej upragnionej reformie, powiedzmy sobie, że potrzebujemy jak najwięcej kobiet z charakterem wyrobionym i samodzielnym, przejętych głęboko poczuciem ciężkich na nich obowiązków; kobiet, które w małżeństwie nie szukają wygodnego zabezpieczenia sobie bytu, lecz obok szczęścia, widzą pole pracy, której z ochotą poświęcą najlepsze swe siły, — kobiet, szlachetnie czujących, które to, co nasze z głębi duszy ukochać umieją, własną rodzinę za cząsteczkę społeczeństwa do którego należą uważają, a dzieci w tym duchu wychowywać potrafią; potrzeba nam kobiet dobrych, silnych, wytrwałych, jasno i uczciwie myślących, dla których mężczyźni muszą mieć cześć głęboką, a wszyscy bliżej miłość i niezachwiane zaufanie.

Reforma w wychowaniu kobiet, która śmiało to rzec możemy, uszła już wielki kawał drogi, będzie najznamienniejszym początkiem reformy w prawach małżeństwa.

Zofia Scidlerowa.



# O SZCZĘŚCIE DZIECKA.



VII.

Przyroda.

I oto trzeba do tej księgi dzieci swe prowadzić, jeśli się chce im dać szczęścia poznania, rozumienia i — używania.

Otocz dziecko przepychem i bogactwem, obsyp go klejnotami i przysmaczkami, rozwiń przed nim ogrom świata całego, lecz jeśli nie dasz mu serca żywo bijącego, — nie ono z szczęścia nie zazna.

A w tem wszystkim, co mu nieść i dawać będziesz, w tem wszystkim, co mu rozwijać i roztaczać pocziesz, jeśli nie będzie umiłowania przyrody, także mu szczęścia nie podasz i czoło jego nie rozplomieni się pogodą życia.

Czem jest przyroda? po cóż mówić?

Tyłu wieszczów, poetów, myślicieli, tyłu filozofów, ludzi natchnionych, artystów tyłu mówiło i przedstawiało społeczeństwu czar i potęgę przyrody, iż chyba już nic nowego w tym względzie się nie powie, ani nic ciekawszego na określenie skarbów przyrody nie znajdzie się.

A jednak — w pedagogii tak jeszcze mało miejsca dają wychowawcy tej mistrzyni do działania na serca młode, i tak rzadko o tem myślą ci, co dzieci mają, iż niczem wszystkie dzieła, przybory naukowe, wynalazki, odkrycia, arcydzieła, wszystko niczem wobec przyrody i serca dziecka!

Kraszewski już tak dawno wołał jakby ze skargą:

— Żywy świat — na ileż to klamer i pieczęci zamknięta jeszcze księga!...

Ach, prawda!... opieczętowana, zamknięta, zamurowana, zasłoniona rozlicznymi przeszkodami, wspaniała księga przyrody jest jeszcze zawsze przed naszymi dziećmi zamknięta i dlatego duchy ludzkie nie umieją rozpinać dalekośnych skrzydeł, bo nie umieją wśród skarbów przyrody szukać natchnień, porywów i ognia uczuć.

Dzieci, od najpierwszych lat otaczane są bawidelkami sztucznie wyrabianymi. Mają one zwykle drewniane koniki, porcelanowe lalki, robione z blachy koguciki i kureczki, kwiaty fabrykowane z włóczki lub papieru, drzewa robione z piór, domki klejone z tektury, słowem wszystko naśladowane, fałszywe, złudne. Do tego nawykając, nie wiedzą często takie dzieci, czem się różnią prawdziwe kureczki od tych blaszanych, czem są piękniejsze kwiaty żywe od owych sztucznych. A zdarza się nieraz, iż w zetknięciu się z żywym stworzeniem dzieci takie czują lęk, wstręt i niechęć, bojąc się wszystkiego, co nie jest martwe.

W takich warunkach poczęte wychowanie, psuje u wstępu charakter dziecka, zagraadza drogę do szczęścia na zawsze.

Dziecko boi się muszki złotoskrzydłej, robaczka maluskiego, ucieka od wzgórków wysokiego, nie lubi kwiatów na łące zbieranych, bo to wszystko obce dla jego serca i zdaje mu się grożące jakimś niebezpieczeństwem.

Zdala od życia przyrody, od piękna tych skarbów niezmiernych i niezliczonych wychowywane dzieci, nie mają nigdy wielkich uniesień ducha, nie rozpalają się zapalem, nie marzą o przyszłych czynach z krainy cudów, bo martwe drzewa, papierowe chatki, drewniane koniki nie poniosą myśli daleko i serca nie rozgrzeją zachwytem.

Szczerze powiedzmy sami, na doświadczeniu lat wielu opierając swe zdanie, czy jeśli zetknęliśmy się kiedy z ludźmi gorąco przyrodę kochającymi, nie czuliśmy jak gdyby ciepła od nich udzielającego się, nie widzieliśmy jak gdyby siły jakiejś magnetycznej, która nas ku nim pociągała, czy nie zdawało się, iż jesteśmy niżsi i ubodzy duchem wobec nich, bo oni kochali to wszystko, czego nasze oczy nawet nie umiały dojrzeć...

Ludzie, którzy umieją kochać, cenić i rozumieć przyrodę, ci umieją kochać i społeczeństwo, ci odgadują ludzkich myśli przędzę, ci kolebią ludzkich wrażeń poloty, słowem są to zwykle najlepsze duchy ziemi, ci, którzy umieli wszystko piękno ziemi ukochać i do łona przyciągnąć.

Dlaczego poeci tak wiele szczęścia społeczeństwu rozdają?... Zkąd czerpią te zapasy pięknych myśli i wrażeń, któremi tłumy całe bogacą, jeśli nie właśnie z tego ukochania przyrody, jeśli nie właśnie z tej księgi, którą otworzyć umieli, a która przed nami i przed naszymi dziećmi na sto klamer i sto pieczęci jeszcze bywa zamknięta?

Kto marzy o przyszłym szczęściu życia swojego dziecka, ten niech swoją duszę nastroja na wysoki ton piękna, tak, ażeby była zdolna kochać przyrodę i umiała uczyć kochać ją.

Zamiast stosu porcelanowych lalek, lepiej przywieść jedno dziecko bose i jak powiada Konopnicka, pełną je w ramiona wypieczzonego dziecka, mówiąc: „Wyście braćmi!...”

Zamiast nawału kupowanych sztucznych zabawek, lepiej dać grzędę jedną, piaskiem dookoła osypaną, murawą osadzoną, i uczyć na niej hodować roślinki.

Zamiast wyszukiwania rozrywek nieodpowiednich dla dziecka, rozrywek, które męczą, nudzą, przepalają, lepiej postarać się o to, aby dziecko jak najwięcej na wsi przebywało, ażeby po moczarach bose nóżki wilgociło, na ściernisku białe rączki opaliło, przy dzieciach osmolonych spiewać się uczyło.

Zaprawdę! Lepszy z tego posiew, jak z baletów, teatrów, wystaw i tym podobnych cywilizacyjnych rzeczy, które są tem wobec przyrody, co drewniane lalki wobec dziecka żywego.

Śniadecki w dziele swem o „Wychowaniu fizycznym“ powiada: „Nie wiem czy to przeczytać za szczęście, że w takim żyjemy wieku, gdzie się jedynie kształceniem umysłu zajęto, bez najmniejszej uwagi na wychowanie fizyczne, bez względu na siły i zdrowie człowieka. Dlatego dziś mianowicie w wyższych towarzyskich klassach *mało mamy ludzi, bo to, co tam natrafiamy, są po większej części umysłowe mary albo rozumujące cienie.*”

Istotnie, słowa te myśliciela cechują wybornie stan tegoczesnego wychowania młodzieży naszej, gdzie raczej do mar i cieni podobne są te istoty, które powinny być pełne

zapału, uniesień, ognia, zachwyków i sił duchowych.

Wynika to ze sztucznego wychowywania, zdala od świata przyrody, wynika to z tego, iż my dzieci chowamy po miastach i tylko miejskimi wrażeniami je karmimy.

Wolą matki raczej wydawać summy ogromne na aksamitne kostyminy dla dzieci, jak użyć te pieniądze na kupienie bodaj chatki gdzieś pod lasem. W aksamitach dziecko wygląda, jak lalka, ale też ma i duszę, jak lalka porcelanowa. Zamiast piór drogich, kapeluszy czubatych, koronek drogocennych, lepiej dać dzieciom kawałek łączki jaskrami okrytej, trochę piasku słońcem złoconego; lepiej nauczyć je kochać ojcowizny skibę choć najuboższą, bo ziemia życiem swem człowieka rozbudza do miłości wielkich, a próżnostki strojów zabijają każde technienie ducha.

Wolą matki wodzić dzieci swoje po ciasných ulicach miasta, w kurzu, pył i wśród kamieni twardych, jak wyjść z niemi na drogę wioskową i między pól zagony. W mieście dziecko uczy się kokieterii, grymasów, chciwie jest na wzbudzenie podziwu nad sobą, a wśród cichych pól dziecko zachwyca się kroplą rosy, szmerem zboża, szczebiotem ptaków.

Lecz są rodzice, którzy mają sposobność mieszkania na wsi, posiadają dwory wielkie, parki ogromne, obszary łąk nieobjęte okiem; czemuż przecie i tych dzieci jeszcze nie umieją kochać przyrody i nie mają w głębi dusz wielkich polotów ludzi umiających cenić piękno?

Oto najczęściej tak bywa u ludzi zamężnych, iż do wychowania dzieci biorą osoby obce z krwi i ducha, osoby nie natchnione lecz płacone, osoby, które same nie są zdolne odczuć piękności przyrody, więc i nie mogą uczyć jej, ani w sercach drugich zasiewać.

Słowacki cudownie powiada:

„Bóg promień duszy wcielił w nieskończone twory,  
Dusza się rozprysnęła na uczuć kolory,  
Z których pięć wzięła zmysły cielesne za sługi,  
Inne zagasły w nicość...“

Lecz promień duszy wcielonej w tworów nieskończoność żyje wiecznie i ducha życiem wszystko ubogaca, tylko nie wszyscy chcą zbierać tych uczuć kolory i nie wszyscy wiedzą: czem to dla szczęścia dziecka stanie się, gdy dadzą zagasnąć w nicości promieniom ducha wcielonym w przestworach...

Przyroda wszędzie i zawsze wspaniale jest piękna i bogata.

Nie tylko pod szafirem południowego nieba, nie tylko nad niezmierną falą Oceanu, nie tylko wśród Alp niebotycznych... W każdym kątku ziemi naszej ma ona piękności wiele, tylko trzeba umieć na nie patrzeć i uczuć kolorami ją malować.

Nie trwóżmy się, że poetów uczynimy z dzieci, gdy im każemy śledzić bieg chmur białych po niebie, nie myślimy, iż czułością przejmą się, gdy słuchać będą szmeru lasu i cieszyć się grą cieni i światła wśród szczytów drzew.

Ukochawszy piękno przyrody, przejdą przez życie strojne w takich skarbów zasoby, iż nie i nigdy ich zubożyć zupełnie nie zdoła. A szczęścia wielkiego to podstawą, ażeby



mieć bogactwo w sercu, duchu, myśli i uczuciu!...

Jadwiga z Z. Strokowa.



## HISTORIA KOBIETY.

STUDYUM SPOŁECZNE

PRZEZ

Julię Terpiłowską.



(Ciąg dalszy).

Kobiety, dbające jeszcze o zachowanie pozorów obyczajności, maskowały wiarołomstwo krzywoprzysięstwem. Gdy się takiej pani mąż sprzykrzył i innego się zachciało, wnet starała się o unieważnienie małżeństwa. A że rozwód w Kościele katolickim jest tem samem, czem kassacya w procesie, to jest uznaniem za niebyłe tego, co przeprowadzom zostało, z pominięciem którego z warunków ustanowionej procedury, więc nie trudno było przy usilnych staraniach i pieniężnej możności wynaleźć, nakręcić lub nawet zfałszować dowody, stanowiące jakiś t. zw. „punkt do rozwodu.“ Tym sposobem liczne rozwodnice łamały swe zobowiązania, opuszczały mężów, brały sobie nowych, i nie sobie nie robiły z nielegalnego częstokroć przeprowadzenia sprawy, a tem samem nieważności następnego związku wobec sumienia. Milczało więc na takie rzeczy i sumienie powszechne — opinia publiczna spokojnie godziła się z faktem, który stał się pospolitym zwyczajem.

Zwichnięcie sumienia powszechnego i jego wyrazu, którym jest opinia, doprowadziło do tego, że niemoralność nie tylko przestała być uważaną za rzecz naganną, ale nawet poczęła być traktowaną, jako rzecz zaszczytna. Światowa kobieta szczyła się rojem wielbicielei, z którymi igrała w uczucie wcale nie platoniczne, wykwinny bałamut chlubił się ofiarami, którym zabrał serce i dobrą sławę, człowiek żonaty popisywał się cugami i strojami swojej utrzymanki — wyrzucono na strych, między stare graty, dawne surowe słowa: „nie godzi się“ i „nie przystoi,“ zastępując je konwencyonalnem „nie wypada.“ Konwensans zaś, postawiony na miejscu Przykazania i Obyczaju, pozwalał na wszelkie moralne wyuzdanie pod jednym tylko warunkiem: aby występki miały gładką, zewnętrzną formę, złożoną z eleganckiej maniery, dowcipnych paradoksów i salonowej wytworności.

A po za tą filozoficzno-estetyczną deprawacją wielkiego świata, której najhaniańsze skandale opowiadano sobie z figlarnym uśmiechem w najwykwintniejszych buduarach, leżała się w suterynach jawnego bezwstydu deprawacya potajemna, przechodząca wszystko, co kiedykolwiek wymyśliło pogańskie zepsucie ku zadowoleniu męskich chuci, kosztem pohażnienia kobiety. Ten straszliwy wynalazek nowożytnej sofistyki etycznej, który na hańbę współczesnych społeczeństw trwa dotąd, — to praktyka rozpusty, zamieniona w instytucyę państwową...

Stwierdzając ze zgrozą fakt istnienia jawnie

i publicznie zakładów dla nędznych rzemieślnic występku, *pracujących* pod opieką prawa, musimy zapytać historyi obyczajów, jakim sposobem przyjsć mogło do takiej ohydy? jakim zuchwałym paradoksem znieczulony został do tego stopnia moralny zmysł społeczeństw cywilizowanych — i chrześcijańskich?

Przyszło do tego po prostu po szczeblach coraz głębszego obniżania duchowej indywidualności kobiecej, przez coraz bardziej wyswabadzany z pęt religijno-moralnych egoizm męzki; przyszło to po szczeblach galanterii — kokieteryi — donżuanizmu — cynizmu; zaczęło się od ogłupiania madrygałami buduarowej lalki, a skończyło się na ulegalizowaniu prostytutki. Paradoksem zaś, jakoby usprawiedliwiającym monstrualny fakt z punktu widzenia etyki społecznej, było niby naukowe twierdzenie, iż rzecz jest dla zdrowotności silniejszej połowy rodzaju ludzkiego potrzebną. Pomijając błędność założenia, któremu przeczy doświadczenie przeszłości, przedstawiającej tylokrotnie całe pokolenia z rozlicznych ras i epok powściągliwe a krzepkie, — zwracamy uwagę na inną stronę kwestyi, zapytując, jakie prawo społeczne pozwala dla ewentualnej korzyści jednej grupy ludzi poświęcić drugą grupę ludzi? Jaka racya logiczna usprawiedliwić może użytkowanie żeńskiej grupy społecznej na lekarstwo dla męskiej grupy społecznej?...

Pewien ciemnoskóry władca ludożerczego plemienia miewał kongestye do głowy. Nadworny czarownik doradził mu na to środek, nie tyle racjonalny, ile łatwy i przyjemny, którym było codzienne spożywanie zraza pieczeni, wykrawanego żywca z najmłodszych i najładniejszych poddanek jego ludożerczej mości. Władca stosował się gorliwie do przepisu medycznego, że zaś był smakoszem, zażywał lekarstwo w zbyt silnej dozie, w skutek czego na miejscu kongestyi, wystąpiły zaburzenia żołądkowe znacznie poważniejszej natury. Pomimo tego, dostojny pacjent praktykował miłą dyetykę do końca żywota, a następcą jego przejął ją skwapliwie, i stosował, jako prezerwatywę przeciwko możliwym kongestjom. Następcą następcy uczynił to samo — i dotąd dynastya owych monarchów trwa przy owej praktyce, i rzecz dziwna — dotąd owym najmłodszym i najładniejszym poddanom ich ludożerczych mości nie przychodzi do głowy pytanie, czy jest rzeczą słuszną zapobieganie monarszym kongestjom kosztem straszliwego kalectwa poddanek?

Jednemu z takich ludożerczych władców, który wraz z wojownikami swymi zwykł rządzić się krwią ubogich cór plemienia, sprzedających swe siły żywotne za szklane paciorki i mosiężne kółka do nozdrzy, perswadował niedawno pewien misyonarz, że według najnowszej higieny, ulubione jego panaceum może być skutecznie zastąpionem znacznie niewinniejszymi środkami, iż że zresztą starym zabobonem jest, jakoby owa dyetyka miała być rzeczywiście dla zdrowotności szlachetnych wojowników nieodzowną. A na to władca ludożerczy wystąpił z nowym argumentem: oto on i jego wojownicy tak już przywykli do spożywania ciepłej krwi i żywego mięsa, że stało się to dla nich prawem natury, któ-

remu sprzeciwić się żaden z nich niema mocy. Gdyby więc nie było głupich dziewcząt z gminu, dających się skusić kolorowemi szkiełkami, dzielni wojownicy staliby się groźnymi dla niewiast, stanowiących prywatną własność innych mężów plemienia — i działaby się wówczas w skrytości rozmaite rzeczy, znacznie szkodliwsze moralnemu i fizycznemu zdrowiu całej hordy, niż legalne poświęcenie dla jej dobra pewnej liczby najuboższych poddanek. Gdy misyonarz na to kręcił głową, władca ludożerczy zapewnił go ze szczerem przekonaniem, że dzielni wojownicy bezwarunkowo nie są w stanie zapanować nad swoim apetycznym nawykniem, a przeto wszelka argumentacya, zarówno medyczna, jak i teologiczna, na nic się tu nie przyda.

Misionarz wówczas rzecze:

— Nie możecie zapanować nad waszym apetytem dlatego jedynie, że go wciąż podniecacie. Wszak waszem najmilszym widowiskiem są igrzyska krwawe i mięsne, najwesełszą zabawą — oglądanie krwi i mięsa, najciekawszą opowieścią — bajanie o krwi i mięsie; cóż więc dziwnego, że stajecie się niepoohamowanie żarłocznymi? Poskromcie najpierw oczy, uszy, języki wasze, a wtedy potrafcie zadowolić pekeflejszem z własnej obory, w braku zaś teje, nawet zgoła jaroszami być zdolacie. Wspomnijcie na przyszłość waszej hordy, na mające się narodzić pokolenia wasze: wszak wy ich także krew i ciało pożeracie, bo w skutek waszych przepełnionych żołądków one muszą schnąć i gnić. A jeśliżście nieuleczalni, pomyślcieź o synach waszych: dawajcie im zdrowy karm jarski, strzeżcie ich oczu, uszu, języka, ćwiczcie ich na prawdziwie dzielnych wojowników, którzy przedewszystkiem umieją zwalczyć siebie. Gdy oni zerwą z waszą dyetyką i zasmakują w domowej strawie, wtedy praprawnuki wasze nie będą już tabetykami, rachitykami, skrofalicznymi i gruźlicznymi, lecz utworzą plemię tak krzepkie i odporne, iż horda wasza nie da się zjeść nikomu i stanie się podobną potężnemu lwu pustyni.

Władca ludożerczy pokiwał z uznaniem głową, a potem zawołał swych dwunastu synów i udał się z nimi na wieczorne igrzysko, gdzie znakomity sztukmistrz żonglował zrazami żywego mięsa.

A potem młodzieńcy owi wymknęli się na kolacyjkę, na której spożyto nie tylko one zrazy, ale także i onego misyonarza.



Aniela Tripplinówna.

## Z pobytu na dalekim szlaku.



(Ciąg dalszy).

— Na nabożeństwa w dni uroczyste, na wizyty do przyjaciółek, na spacer w powozie. Zresztą będzie sobie w domu Lilitha rozwieszała toalety i przypominała miodowe mięsiące.

— Będzie się bawiła sukniemi, jak dziew-

czynka czteroletnia lalkami — przerywam. — Ależ to życie haremowe, muzułmańskie, a państwo jesteście przecie chrześcijanami od dawna...

— No tak, to prawda, ale my tak strzeżemy czystości naszej rasy, że Ojciec święty pozwolił patriarchyom udzielać nam dyspensy na pojmanie za żony najbliższych krewnych, bez odwoływania się do Rzymu. Papież są tak mądrzy, że dla wschodnich katolików zmodyfikowali niektóre przepisy kościelne. Ja ożeniłem się z córką rodzonej siostry, on wziął córkę po bracie, byle nie skazić się mezaliansem.

— To bardzo zgubne dla zdrowia przyszyłych pokoleń...

— Zdrowie ciała to nie wszystko, zdrowie duszy większe ma znaczenie w naszych oczach. Wiemy napewno, że nasze kuzynki wychowane są uczciwie jak nasze babki, prababki. wiemy, że nie zgrzeszą mimo temperamentu wschodniego. Żadnych reform nie pragniemy.

— Ani żony nasze żadnych nie pragną. Darmo im mniszki prawią różne kazania o niepodległości i zamiłowaniu do pracy — peroruje pan Jusuff. — Nasze dziewczeczki jednym uchem słuchają, wypuszczają drugim. W parę miesięcy po powrocie od Nazaretanek, czy od Diakonis, czy od Niemek z Quedlimburga — stają się naszymi niewinnymi dziewczeciami, myślącymi tylko o zamążpójściu. I nam z tem dobrze, i naszym kobietom doskonale.

— Zresztą czas obudzić nasze żoneczki — przerywa Australczyk, — niech panie same zapytają, czy chciałyby latać po mieście za kawałkiem chleba, jak Europejki i Amerykanki.

My naturalnie żadnych nie stawiamy kwestyi, panowie sami rozpytują żony, które nie od razu rozumieją o co chodzi, tem bardziej, że są rozmarzone haszyszem.

Pani Farah tuli się do swego pana i stanowczo z miejsca odpowiada:

— Pracować, o nie! za nic w świecie! nie mamy chęci, ani siły do pracy. Praca dla kobiety naszej sfery jest męczarnią i hańbą!...

Widzimy owoc ośmioletniego pobytu u Nazaretanek. Stokroć trafne jest arabskie przysłowie: *Et tab raleb et-tatabso* (Natura silniejsza, niż edukacja) i drugie podobne: *El ade hamis tabia* (Przyzwyczajenie jest piątą naturą).

Pani Jusuffowa nie tuli się do męża i płacze się trochę w odpowiedziach. Słyszymy: gdyby, żeby...

To się nie podoba panu Mutran, to go cokolwiek w kłopot wprowadza, wiec nie pragnąc dalszych objaśnień, przerywa Affie pocałunkiem i słowy:

— Wiem, wiem, że ze złą miss Clarą niepotrzebnie czytywałaś angielskie romanse, ale ja żonkę z tej książkomanii wyleczę. Spalę książeczki, będziemy razem konfiturki, cukierki, pomarańczki smarzyli, kwiatki zrywali i odpoczywali na szezłagu, co najwięcej, żoneczka chuda, bardzo chuda, musi przytyć koniecznie.

Pomimo tak gorących dyskusji i opinii emancypantki, jakiej używam w hotelu, wszyscy małżonkowie zaszczycają mnie największym zaufaniem. Dwaj patrycyusze przed każdym wyjściem na miasto, prowadzą mnie do swo-

ich dam, z błagalną prośbą rozerwania ich w samotności.

Stają się ofiarą moich studyów i mojej u-przejmości. Nie mam chwili swobodnej na przeczytanie kilku wierszy, oddaję lub przyjmuję wizyty, tem uciążliwsze, że zawsze połączone z pićciem limoniady i czarnej kawy. To zwyczaj barbarzyński i zgubny dla zdrowia dla osób nie urodzonych na Wschodzie. Odmówić niema sposobu. Czasem udaje mi się wylać zawartość filiżanki za okno lub do doniczki z kwiatem. Niezdrowo jest także ciągle rozpytywanie o zdrowie: *Mabsuta? Mabsuta?* Odpowiadać muszę 500 razy dziennie *Musz mabsuta* (Niezdrowa jestem) lub *Mabsuta* (Jestem zdrowa). Męczącym dla mnie było również ciągle opowiadanie o toaletach paryzkich. Lecz cóż było robić? Chciałam poznać tutejsze społeczeństwo. Za ciekawość nie tylko w raj, trzeba było odprawiać pokutę.

Obok tego, ponieważ panie zwykle skupiają się w jednej komnacie bardzo wysokiej, lecz nie bardzo obszernej, a cugów się lękają, nieraz upał dokuczał mi straszliwie, krew mi uderzała do głowy i kończyło się na tem, że zdobywałam się na odwagę zaproponowania otwarcia drugich drzwi.

— Jakich drzwi? — pyta raz ze zdziwieniem pani Mutran.

— Bocznych, które panie tak szczelnie zamykacie.

— To nie my zamykamy, te drzwi prowadzą podobno do jakiegoś składu mebli, nie mamy innych drzwi, oprócz salonowych, przez które panie zawsze wchodzi.

— Więc gdzie jest pokój pani?

— Jaki? Gdzie jest mój pokój? Nie rozumiem tego pytania. Gdzież ma być mój pokój, jeśli nie w pokoju mojej córki?

— Więc pani z panią Lilithą zajmujecie inny pokój?

Wszystkie damy wytrzeszczają na mnie wielkie oczy, wzruszają ramionami, spostrzegam, że ich zdziwienie równa się mojemu.

— Chyba pani żartuje — mówi pani M., — mieszkamy wszyscy troje razem. Przecież dlatego jedynie opuszczamy mężów, dom, małe dzieci, żeby strzedz nasze ukochane córki podczas miodowych miesięcy, żeby one ciągle matkę miały pod ręką i pod jej czujnym okiem powoli się przyzwyczajały do mężów swoich.

— Ależ pani — zawołały teraz obie młode mężatki, jakby jednym głosem, — żadna z nas za nic w świecie nie zostałaby po ślubie sama na sam z mężczyzną. To wstyd: to jest wyzuciem się z wszelkiej skromności. Choć mój mąż jest moim wujem rodzonym, za żadne skarby kuli ziemskiej nie byłabym z nim wyjechała bez mamy.

Teraz dopiero rozwidniło mi się w oczach, pojęłam, że te trzy osoby zajmują jeden pokój tylko i że tak się dzieje we wszystkich hotelowych komnatach małżeńskich. Przypomniały mi się nasze chłopskie chaty, sceny z „*Germina*l'a“ Zoli; tam ciasnota, nędza, tu zasada, dowód najwyższej skromności. Co kraj, to obyczaj! — rozważam w myśli, lecz nic nie mówię. Za to odzywa się do mnie pani Jusuffowa, najintelligentniejsza z całej rodziny.

— Tak pani, czytając angielskie romanse z miss Clary, uważałam, że w Europie pań-

stwo młodzi po ślubie wyjeżdżają we dwoje i to mi się wydawało straszne. Jabym umarła ze wstydu i strachu, żeby tak od razu miała zostać z mężem, bez ukochanej mateczki.

Podchodzi do matki, siada jej na kolanach, przytula się do niej, a matka ją głaszcze, pieści, jak małe dziecko.

— Nasze córki za skromnie są wychowane na waszą emancypację, — z pewnym sarkazmem oświadcza pani Farah.

— Pani, w Europie to nie emancypacja, to obyczaj, stary, jak sama Europa.

— Co też pani mówi! — przerywa znów pani F., — nie jestem uczona, lecz znam trochę dzieje naszej Azyi Mniejszej i wiem, że wszystko co tam dawniej mieliście w Europie, zawdzięczaliście Palestynie i Syrii — religię przedewszystkiem, a potem abecadło, arytmetykę, żeglugę, architekturę, wszystko! Więc i tradycya naszych cnót niewieścich popłynęła ku wam z naszymi okrętami, ale teraz zaczęliście się emancypować.

(Ciąg dalszy nastąpi).



MULTATULI.

## Z KOBIECEGO BREWIARZA.



I.

C Ó R K A.

Thygater \*) doila krowy swego ojca i doila je dobrze, gdyż mleko, które ona do domu przynosiła, dawało więcej masła, aniżeli mleko z wydoju jej braci.

Powiem ci, dlaczego tak było i uważaj dobrze, abys wiedziała... jeżeli kiedyś pójdiesz krowy doić Fancy.

Ale powiem ci nie dlatego, żebyś jak Thygater doila, tylko żeby ci wskazać przykład jej braci, którzy mniej dobrze dojąc, lepiej czynili, — a przynajmniej rozsądniej.

Zanim młodzi wieśniacy wychodzą na pastwisko, o wiele wcześniej od nich stają krowy za obejściem i czekają, aby je uwolnić od nadmiaru pokarmu, który właściwie dla swoich cieląt przygotowały, jednak ludzie zjadają cielęta, ponieważ „czują się do tego uzdolnieni,“ a zresztą i tak za dużo mleka zbiera się w wymionach krowich.

Cóż tedy dzieje się podczas tego, kiedy krowy z głupią miną czekają tak u zastawy?... oto lżejsza część mleka, śmietana, tłuszcz, masło podnoszą się do góry i układają powyżej od sutek.

Kto tedy cierpliwie doi aż do ostatniej kropli, przynosi tłuste mleko do domu, komu zaś spieszno, zatrzymuje śmietanę w wymionach.

I patrz, Thygater miała cierpliwość doić do ostatniej kropli i nie było jej tak spieszno z robotą, jak jej braciom.

Bracia bowiem utrzymywali, że mają prawo do czegoś lepszego, nizeli tylko do doje-

\*) Thygater, po grecku: córka, po sanskryckudojka.

nia krów swego ojca; ona wszelako nie myślała o tem prawie.

— Ojciec mnie uczył, jak się strzałę z łuku wypuszcza, — mówił jeden z braci; — mogę żyć z polowania, bując swobodnie po świecie i pracować na własną korzyść!

— Mnie nauczył rybołówstwa, — mówił drugi; — nie głupim doić krowy dla kogo innego!

— Mnie zaś nauczył łodzie robić, — zawołał trzeci; — zetnę drzewo, obrąbię pień, usiądę na nim i popłynę zobaczyć, co tam po drugiej stronie jeziora jest do widzenia!

— A ja wolę mieszkać z jasnowłosą Gyną\*), — oświadczył czwarty, — wolę mieć swój własny dom, a w nim córki, które dla mnie krowy doić będą.

I tak każdy z braci miał swe życzenie, swoje żądanie, swą wolę; każdy był przejęty swoją ulubioną myślą i nie zadawał sobie wiele trudu, ani czasu aby całe mleko wraz ze śmietaną odebrać zasmuconym krowom, które tę bezużyteczną dla siebie resztkę w wymionach zatrzymywać musiały.

Thygater zaś doła do ostatniej kropli.

— Ojce, — zawołałi wreszcie wszyscy czterej bracia, — idziemy... porzucamy cię!

— A któż będzie krowy doić? — zapytał stary.

— Et, któżby!... Thygater.

— Ba, a cóż się stanie, jeżeli i jej przyjdzie ochota polować, jeździć, ryby łowić i świat oglądać?... co będzie, jeżeli jej się zachce zamieszkać z jakimś blondynem albo brunetem, mieć dom własny ze wszystkim, co do niego należy?... Bez was mogę się obejść, bez niej nie sposób!... zwłaszcza, że ona takie tłuste mleko w skopcach przynosi.

Wtedy bracia zastanowili się i po namyśle rzekli:

— Ojce, nie ucz jej niczego! w takim razie będzie ci wiernie krowy doła, aż do końca dni swoich. Nie pokazuj jej, jak się łuk napina, aby z cięciwy strzałę wypuścić: wtedy nie nabierze ochoty do polowania. Nie opowiadaj jej o tem, że ryba jest łakoma i połyka cheiwie ostry haczyk, jeśli na nim zawiesić kawałek padliny: wtedy nie pomyśli o zarzucaniu wędki albo sieci. Nie ucz jej, jak się wydrąży pień i łódkę robi, w której przepłynąć można jezioro: wówczas nie przyjdzie jej chętka przepłynąć na drugą stronę. I niechaj się nigdy nie dowie, w jaki sposób można z jasnowłosym czy z ciemnowłosym spółnikiem wystawić sobie własny dom i zaopatrzyć go we wszystko, co potrzeba. Tylko tego wszystkiego jej nie ucz i nie mów, aby nigdy o tem nie wiedziała, ojce — a pozostanie przy tobie i tłustego mleka nigdy ci nie zabraknie!... Ale tymczasem... pozwól nam odejść, niech każdy z nas uczyni według swej woli!

Tak mówili synowie, wszelako ojciec, który był człkiem przezornym, rzekł:

— Dobrze to wszystko, ale kto temu przeszkodzi, aby się sama nie dowiedziała o tem, czego jej nie powiem i nie nauczę?... Co będzie, jeżeli zobaczy muchę płynącą na gałęzi w strumieniu?... albo jeśli naciągnięta nitka jej przędzy wyrwie się szybko z jej palców i skurczy, i wrzecziono odrzuci?... albo

też gdy zauważy, jak ryba pyszczkiem chwytającego się robaka, a zmyliwszy celu, zaczepia się na ości wystającej z brzegu?... albo wreszcie natrafi na gniazdko, które sobie skowronki wiosną ścielą w koniczynie?

Synowie znowu zamysłili się przez chwilę i powiedzieli:

— Nie obawiaj się, ojce, — ona z tego niczego się nie nauczy; ona jest za głupia, aby z wiadomości zaczerpnąć zachcenia. Przecież i my nie bylibyśmy niczego się nie dowiedzieli, gdybyś nam nie był wszystkiego objaśnił.

Ojciec jednakże odparł:

— Nie, głupią ona nie jest!... ja się właśnie lękam, że ona sama z siebie nauczy się tego, czegoście wy beze mnie nauczyć się nie mogli. Nie, nie, Thygater nie jest głupią!

Na to synowie pospuszczali znowu głowy i pomyślawszy trochę dłużej, rzekli:

— Ojce, to powiedz jej, że wiedzieć, rozumieć i żądać jest... grzechem dla dziewczyny.

Tym razem przezorny bardzo ojciec był z rady synów zadowolony; pozwolił im rozjechać się i pójść na polowanie, na połów ryb, na zwiedzanie świata, na zaloty — wszędzie, gdzieby tylko chcieli.

Córce zaś zabronił wiedzy, pojmowania i pożądanego, aby w swej naiwności doła dalej krowy aż do końca.

I tak też pozostało po dzień dzisiejszy.

## II.

### OBYCZAJ — NIEOBYCZAJ.

U Samojedów — nie mogę ręczyć za to, czy tylko u nich, czy także i gdzie indziej — istnieje zwyczaj nacierania się zjeżdżalnym tranem od stóp aż do głowy.

Pewien młody Samojedczyk zaniechał jednak tego zwyczaju. Nie smarował się wcale ani tranem, ani czemkolwiek innym.

— Nie trzymasz się przyjętych u nas zwyczajów, — powiedział mu jeden z miejscowych uczonych; — nie masz obyczaju.. jesteś nieobyczajny!

To było poprawnie powiedziane.

Rozumie się, że młody Samojedczyk za swoją nieobyczajność był maltretowany przez resztę ludności. Łowił wprawdzie więcej fok od innych swoich rodaków, ale to mu nie nie pomogło. Odbierano mu jego połów i oddawano Samojedczykowi, którzy należą do tranem cuchnęli, a jemu pozwolono głód cierpieć.

Ale z czasem stało się jeszcze gorzej.

Młody Samojedczyk nie tylko, że ośmielił się żyć niesmarowany wstrętnym tłuszczem, miał tę czelność jeszcze od czasu do czasu obmywać się wodą kolońską.

Przyjemny zapach był nieznośny dla Samojedczyków.

— On postępuje wbrew naszym obyczajom, — zawyrokował uczony, — on jest nieobyczajny!... Pójdźcie, poodbieramy mu wszystkie fok, które nałowił i objemy go w dodatku.

Stało się.

Ponieważ wszelako u Samojedów nie obawiano się opinii publicznej, ponieważ nie było

swobodnej prasy, nie istniały sądy apelacyjne, nie było ciemnej ortodoksji, fałszywego liberalizmu, zepsutej polityki, ani ministrów demoralizujących, ani warcholskiej Izby niższej, więc... pachnącego winowajcę obito ogryzionymi kośćmi tych samych fok, które własnoręcznie nałowił.

mg.



## Jeszcze dla dzieci.



Przeżywamy chwilę przełomową. Zanim zajaśnieje jutrznia nowego, lepszego dnia, zanim danem będzie wielu ujrzeć tę ziemię obiecaną, tysiące legną po drodze, nie doczekawszy świtu, zwątpiwszy w jutro nastanie. „Nie czas żałować róż, gdy płoną lasy.“ Tak; ale nim nowe staną dęby i sosny, powiew śmierci kładzie nam pokosy róż do stóp i one purpurzą się krwią dzieciak naszych — ofiar najniewinniejszych, a najbardziej bezbronnych. Głód i nędza dotknęły zastępy robotnicze, które dziś domagają się nie naszej łaski, lecz pomocy, a wśród tych rodzin najcięższej cierpią kobiety i dzieci.

Ogół nasz drobno-mieszczański tak niesłusznie oplwany i krzywdzony w ostatnich czasach, pokazał jednak, że ma otwarte serca na jęk bliźniego i chętną rękę pospieszenia mu z pomocą. Może nigdy tak żywotnie, jak w tej chwili, nie ujawniły się jego siły zjednoczone w dążeniu ku działaniu dobra i ulżeniu wspólnej niedoli. Komitety ratunkowe, wydawanie obiadów w każdym domu, rozdawnictwo odzieży, opału i nafty, towarzystwo kursów naukowych, pragnących szerzyć światło wiedzy, wszystko to świadczy o znacznych usiłowaniach i zrozumieniu potrzeb społecznych, któremu toż samo społeczeństwo zaradzać winno wedle sił i zasobów. My choć w drobnej części pragnąc służyć piórem w tej wielkiej sprawie, pozostajemy wierni naszemu zadaniu ratowania dzieci od nędzy i głodu. Dlatego też skwapliwie podnosimy myśl jednej z czytelniczek, ujawnioną w „Rusi“, aby każda z rodzin zamożniejszych zechciała wziąć choć jedno dziecko na odżywienie, dziecko robotników, pogrążonych w biedzie skutkiem strajku. Jedno dziecko! To jedna kruszyna w domu, gdzie ich jest pięć, to jedno ogniwo w łańcuchu obowiązków społecznych, to wypełnienie zasad chrześcijańskich, właściwych naszym rodzinom. Pomyślcie, jakie w tych warunkach przyjsie może na świat pokolenie, gdy nerwy są naprężone i dusze wytrącone z równowagi, jak rosnać, wychowywać się i rozwijać może już istniejące, jak wpływ starszych depresyjnie odbić się musi na młodzieży, a dalej pomyślcie, jak taki dziecięcy organizm wątły i wyniszczony nędzą i głodem podatnym jest podłożem dla wszelkich chorób, zwłaszcza tych epidemicznych, zakaźnych. Chcemy też pomówić tutaj znów o tych najmniejszych, tych promykach ludzkiej szarej doli, które w tej chwili są powodem największej rozpacz, o tych, wśród których śmier-

\*) Gyne, po grecku: kobieta.

telność już szerzy się zastrasza, a szerzy się będzie coraz więcej.

To kandydatki i kandydaci „Kropki mleka“, to dzieci naszej ziemi, to nasza przyszłość! Nie skazujemy ich na zagładę! Idzie zima, a pierwszy mróz zabójczym być może dla wygłodzonego małego. Istniejąca „Kropka mleka“ przy Instytucie „Hygieny dziecięcej“ robi już rozpaczliwe wysiłki, aby nie być zmuszoną ograniczyć rozdawnictwa porcy. Ale na Warszawę to za mało. Dzielnica Stara-miejska, Powiśle, Powązkowska, pozbawione są zupełnie tego dobrodziejstwa. Drugi rok borykamy się z trudnościami wprowadzenia w czyn naszej myśli. Inicytywa jest, pomocy chętniej nam nie zabraknie, idzie, jak zawsze, o fundusze, aby można było otworzyć filie rozdawnictwa „Kropki mleka“ w tych najbardziej oddalonych punktach miasta. Warszawskie Towarzystwo Hygieniczne nie odmówiłyby swego poparcia, a działalność Instytutu mogłaby się rozszerzyć, dostarczając dobrego mleka z jednego źródła. Idzie zatem tylko o zapoczątkowanie. Około *tysiąca* rubli potrzebaby na pierwsze koszty. Dobrzeby było mieć pewną komisję, złożoną z pań, któreby sprawdziły istotne położenie potrzebujących, aby zapobiedz nadużyciom, jakie np. przy rozdawnictwie mleka po aptekach (jak istnieje projekt) może się zdarzać. Dotychczas głos nasz odosobniony był głosem wołającego na puszczy, mamy jednak nadzieję, iż w epoce, w której się ujawniło tyle zdrowych i żywotnych sił, nie trudno będzie o ich zjednoczenie, a wtedy dokonamy dzieła uratowania choćby jednostek od zagłady. Pomocy zatem, ofiarnej pomocy dla *głodnych dzieci!*



## Przegląd teatralny.



Teatr Narodowy. — Dwie rocznice. — Otwarcie teatru polskiego w r. 1765-ym. — „Natręci“ Bielawskiego. — Rok 1825-ty. — Znak czasu.

Zawieszenie przedstawień w teatrach warszawskich zbiegło się z dwiema rocznicami, związanymi z historią sceny ojczystej. O tych to dwóch rocznicach, a właściwie o dwóch faktach z naszej cywilizacji pragnę na tem miejscu pomówić; fakty te łączą się bezpośrednio z dziejami kultury polskiej i wywarły wielki wpływ na rozwój naszej literatury i sztuki dramatycznej.

Lat 140 minęło d. 19-go b. m. od chwili, gdy Stanisław August otworzył teatr polski w Warszawie. Było to 19-go Listopada 1765-go roku.

Chwili tej, bardzo ważnej dla dziejów teatru w Polsce, szersze uwagi poświęca Stanisław Peplowski, który dokładnie zbadał ową dobę i wszystkie szczegóły, towarzyszące pierwszemu widowisku.

Teatr warszawski, — mówi Peplowski, — był stworzony w owej epoce dorywczo, bez należytego przygotowania. Umieszczenie sceny i zebranie osób, uzdolnionych do zawodu aktorskiego, mniej przedstawiało trudności, niż brak odpowiednich dzieł do grania. Na widowiska polskie przeznaczono tak zwaną operalnię, zbudowaną przez Augusta Mocnego, przy Ogródzie Saskim (gdzie dziś wznosi się gmach giełdy).

Nie brakło również kandydatów do zawodu scenicznego. W gronie zebranych aktorów

znalazł się i utalentowany artysta, Karol Boromisz Swierzawski, były woźny palestry polnańskiej. Wychowanek tamtejszych szkół jezuitkich, niedługo siadywał na szkolnej ławie, ale otrzymał posadę woźnego trybunału. Wiodło mu się nieźle, dzięki krotochwilom, którymi zabawiał strony i mecenasów.

Niestety, krewkość wrodzona, czy też przeznaczenie, jak się wyraża Wojciech Bogusławski, zawiodły pomyslowego woźnego do więzienia, zkaąd uciekł i ze złamaną ręką lewą dotarł do Warszawy. Tu oceniono jego zdolności humorystyczne i zaliczono go do personelu aktorów Jego Królewskiej Mości.

W ten sposób Swierzawski został pierwszym komikiem sceny narodowej. Grał zamasztysto a posuwisto, co w rolach słabych kontuszowców, przezeń przedstawianych, zupełnie w owej dobie wystarczało.

Król, chcąc otworzyć teatr sztuką oryginalną, polecił napisanie komedyi inauguracyjnej Józefowi Bielawskiemu, zręcznemu rytmotwórcy ówczesnemu.

Młody autor zabrał się do roboty, którą wykończył ku zadowoleniu króla. Komedia nosiła tytuł: „Natręci“ i ukazała się raz pierwszy dnia 19-go Listopada, 1765-go roku.

Stanisław August przybył na przedstawienie, powitany z zapalem przez publiczność. Wszyscy mężczyźni powstali z swych miejsc, kobiety wionęły ku królowi wachlarzami. „Polski Apollo“ piękny i wyświeżony, wychylił się z łoża i dziękował serdecznie za owacy. Wreszcie umilkły oklaski na widok podnoszącej się zasłony.

Widowisko rozpoczynał prolog. Scena przedstawiała szczyty Parnasu. Wśród głębokiej ciszy Thalia, muza komedyi zbliżyła się ku przodowi sceny, i, złożywszy głęboki ukłon przed łożą królewską, przemówiła, między innymi, w te słowa:

Mnie, którą los osłabił i ujął rzeźwością,  
Odważam się po polsku uczyć w mej starości,  
Aby tem dostateczniej umysł twój wspaniały,  
Mądry królu świat poznał z potomnością cały.  
I tak powabem rzadkim cnót Twych zachęcona,  
Cisnę się dziś do Twojego, Stanisławie Iona,  
W ufności, że przez miłość tak nauk i enoty,  
Potrafisz zyskiem słodzić rozumne roboty.  
I darujesz, jeżeli, o miły Polaku,  
Więcej znajdziesz w „Natrętach“ przykrości, niż smaku,  
Więc pozwól, aby Twojej dogadzając chęci,  
Wyszli na widok pierwsi w narodzie „Natręci“,  
Których jedynie dla Twojej wystawiam zabawy,  
A wkrótce pocztą myślę wysłać ich z Warszawy.

Po tym pochlebnym dla króla prologu, nastąpiło przedstawienie „Natrętów.“

Treścią komedyi były zabiegi hrabiego o rękę pięknej Lucyndy. Hrabia, udając się na schadzke, którą mu bogdanka wyznaczyła, doznaje w tym czasie najróżniejszych przeszkód. Po drodze chwyta go „natręt“, cześnik i przemocą wiedzie nieszczęśliwego kochanka do łowczego, gdzie go zasadzono do kart. Schadzka przepadała. Chcąc przeto przebłagać urażoną damę, hrabia zbiera się do napisania listu: zaledwo zdołał nakreślić kilka wierszy, gdy znów poczynają go trapić „natręci.“

Przed wzrokiem widza zaczynają się przesuwac różne typy, dowcipnie zarysowane przez autora. Akcja doprowadza hrabiego do porozumienia się z Lucyndą.

Budowa komedyi jest pierwotna, naiwna, ale ze względu na warunki, w jakich napisana została, nie można jej bezwzględnie potępić, owszem należy w niej podnieść zalety zręcznej charakterystyki.

Za wielu jednak ciętych humorystów było na dworze królewskim, aby „Natręci“ nie znaleźli swoich karykaturzystów, którzy nie oszczędzali autora.

Węgierski pisał:

Od Bałtyckiego morza, ku śnieżnym Tatrom  
Wiedza, że pan Bielawski otworzył teatrum,  
I słusznie się tym chęli zaszczytem niezmiernym,  
Że był pono natenczas, jak mówią — odźwiernym.

Za Bielawskim ujął się Trembecki, ale to nie powstrzymało Węgierskiego, który ujrzawszy raz pewnego twórcę „Natrętów“ na zamku, zapytał od niechcienia obecnych, czy znają nagrobek, jaki napisał dla Bielawskiego. Nie czekając odpowiedzi, zadarł w górę głowę i wygłosił znany wiersz:

Tu leży Bielawski,  
Szanujcie tę ciszę,  
Bo jak się obudzi, komedję napisze.

Pomimo tych żartów i ostrej polemiki, „Natręci“ cieszyli się powodzeniem w teatrze i ściągali licznych widzów.

Taki był początek Teatru Narodowego w Warszawie, w której w 60 lat później, położono kamień węgielny pod nowy gmach teatralny, po dziś dzień stojący.

W dniu 19-ym Listopada 1825-go roku, podczas tej uroczystości, w głębi ziemi złożono skrzynię z ciosu, a w niej monety współczesne, pisma peryodyczne, w tym dniu drukowane, wywód słowny na miejscu spisany, dzieła Wojciecha Bogusławskiego, oraz blachę cynkową z napisem:

Za panowania Najjaśniejszego Alexandra I-go, Cesarza Wszechrosyi, Króla Polskiego, Namiestnik królewski, Xiążę Józef Zajacek, wobec ministrów, Prezesa Dyrekcji teatrów i członków teje Dyrekcji dnia 19-go Listopada 1825-go roku założył kamień węgielny na budowę Teatru Narodowego w Stolicy, kosztem teje wzniesionego, podług planu Antoniego Corazzi.

I oto w podwójną tę i znamienną rocznicę teatr warszawski był zamknięty. *Signum temporis.*

Adam Dobrowolski.



## Ze szkoły artystycznej dla kobiet p. f. „A. Conti.“

W ubiegłą Niedzielę (d. 19-go), uczennice szkoły artystycznej p. f. „A. Conti“, korzystając z uprzejmości znanego archeologa, pana Erazma Majewskiego, zwiedzały jego piękne i bogate zbiory naukowe. W ten sposób liczniejsze grono przyszłych artystek zapoznało się z historią pierwszych usiłowań człowieka przedhistorycznego, na polu sztuki i poczucia form. Była to jedna z wycieczek, jakie szkoła urząda dla uczenia swoich, bądź do zbiorów i galerii dla kształcenia estetycznego, bądź do zakładów artystyczno-przemysłowych dla poznania w sposób poglądowy, jak dalece sztuka idzie dzisiaj ręką w rękę z przemysłem i jak się wzajem wspierają.

Żalujemy szczerze, iż z powodu przedłużającej się niedyspozycyi, p. Majewski nie mógł sam objąć przewodnictwa przy zapoznawaniu zebranych ze swemi zbiorami. W każdym atoli razie od szkoły i jej kierowników należa się zasłużonemu badaczowi naszych epok przedhistorycznych i ludoznawstwa, słowa serdecznej podziękii i wysokiego uznania.

Z. S.



## Sztuka i literatura zagraniczna.



\* Jeden z najpoważniejszych dzienników paryskich „Le siècle“ rozpoczął druk powieści historycznej Prusa „Faraon“, w przekładzie B. Kozakiewiczza, tłómacza „Ogniem i mieczem.“ Przy tej sposobności ukazała się w dzienniku trafna sylwetka literacka znanego autora.

## Z listów do „Bluszczu.”



Lwów, w Październiku.

O relatywności sądów.—Wystawa prac uczniów rękodzielniczych a legenda o l'improductivité slave! — Pieniny w obrazach.—Rzeźby Góralczyka.—Teatr lwowski: „Macierzyństwo.”—Dyrekcya, publiczność i krytyka.—Szkoła gospodarstwa domowego.

Z moich czasów szkolnych przypominam sobie mały wierszyk niemiecki, w którym dwaj podróżni, powracający do domu, opowiadają o doznanych wrażeniach. Jeden z nich, na pytanie, co widział, odpowiada z miną markotną, tonem niechętnym i znużonym: „Co widziałem? Ot, góry, rzeki i drzewa bez końca, i błękit nieba, i światło słońca.” Drugi wymienia zupełnie to samo i temi samymi słowami, ale czyni to z okiem błyszczącym, głosem radosnym i pełnym życia zachwytem, którym porwają słuchaczy. Wierszyk ten doskonałym był do deklamacyi, gdyż tu te same słowa służyły do wyrażenia zupełnie odmiennych uczuć, że jednak wierszyk ten zawierał także głęboką myśl filozoficzną o relatywności wszelkich zjawisk i ocierał się prawie o drażliwą kwestyę „rzeczy samej w sobie,” o tem młode deklamatorce w szkole nie miały pojęcia. Dziś jednak to głębsze znaczenie owego wierszyka często przychodzi mi na myśl, gdy słyszę sprzeczne nieraz zdania o jednej i tej samej rzeczy.

Bo też w istocie, pominąwszy już zewnętrzne przyczyny, jak rozmaite chwilowe nastroje, lub zupełna bezmyślność patrzenia, czepiająca się jedynie wrażeń ocznych; — z iluż to odmiennych punktów widzenia oceniać można jedną i tę samą rzecz! Weźmy np. odbywającą się obecnie we Lwowie wystawę prac uczniów rękodzielniczych.

Kto zwiedza tę wystawę w nadziei oglądania arcydzieł, stanowiących epokę, lub bodaj postęp w rozwoju pewnych działów rękodzieła, ten naturalnie zawiedzionym będzie w oczekiwaniach i zapytany: co widział, odpowie, jak ów podróżny, ziewając i niechętnie: Ha cóż? szafy i łóżka, kufry i pasy, książki i zabawki, i t. p. zwyczajne rzeczy. Inaczej jednak zupełnie rzecz się przedstawi, jeżeli na przedmioty te patrzeć będziemy, jako na wyroby uczniów, którzy zaledwie przez 2—4 lat pracują w obranym zawodzie, jeżeli przedtem, oglądając rysunki i modelowanie uczniów w lwowskiej szkole przemysłowej, poznamy, jakie uczniowie odebrali nauki przygotowawcze, jeżeli przytem uwzględnimy, że właściwych szkół rękodzielniczych jest u nas bardzo mało, że więc praktyczną naukę pobierają podrastający rękodzielnicy, tylko jako terminatorzy u majstrów, którzy to — jak wiadomo, nie bardzo gorliwie popierają u siebie rozwój młodego talentu, z którego kiedyś urosnie im konkurencya. Jeżeli z tem wszystkim porównamy osiągnięcia stwierdzimy solidność, gustowność i precyzyę w wykonaniu wystawionych przedmiotów, które wprost zaprzeczają zakorzenioną legendzie o „l'improductivité slave.” A przynajmniej uznać musimy, że nieproduktywność ta nie tyle ma swe źródło w jakiejś rassowej właściwości słowiańskiego szczerpu, ile tylko w braku środków, a chociażby i dobrej woli wykorzystania w całej pełni narodowych zdolności i narodowych zapasów.

Szczególną uwagę na wystawie tej zwracają piękne wyroby stolarskie: eleganckie i gustowne sypialnie, jadalnie i pokoje dla panów, współzawodniczyć mogą śmiało z towaram, tak licznie importowanym do nas z Wiednia, a to tem bardziej, iż spotykamy tu od czasu do czasu także swojskie motywy, obok szablonowych empirów, baroków i secesy.

Inna sprawa, jaki stosunek jest między jakością wyrobów krajowych, a ich rozpowszechnieniem, czyli innemi słowy, czy postępy w technice wykonania idą w parze u nas z wzrostem i rozkwitem przemysłu krajowego?

Zdaje się, że na to pytanie można stanowczo odpowiedzieć przecząco. Nie brak produktywności zarzucić można rassie słowiańskiej, a poszczególnie Polakom, ale raczej brak zdolności kupieckich. Możemy to okazać na tym samym przykładzie mebli.

Tyle się u nas słyszy o obowiązku popierania przemysłu krajowego, że każdy, nawet mniej patryotycznie usposobiony obywatel, próbuje, gdy zdarzy się sposobność zakupu nowych mebli, zaopatrzyć się w wyroby krajowe. Niedawno miałam sposobność towarzyszyć jednej z moich znajomych na wędrowce za nowem urządzeniem do pokoju. Jak przystało, zwiedziliśmy przedewszystkiem istniejącą u nas nieustającą wystawę wyrobów krajowych na placu Bernardyńskim; zaraz na wstępie wpadły nam w oczy dwie zgrabne szafki orzechowe i na zapytanie, oznaczono nam jako cenę za obie 90 złr. Mając jednak przed oczyma duszy — zasuggestyjonowany nam przez częste nawoływania i odezwy — obraz pokoju w stylu polskim, pragnęliśmy zobaczyć coś w tym rodzaju. I przekonaliśmy się, że na całej wystawie — oprócz kilku biurka w stylu zakopańskim — nie było ani jednego przedmiotu, któryby w czemkolwiek różnił się od szablonowych mebli, spotykanych w każdym żydowskim sklepie. Po nadto, do pary wybranych przez nas szaf, nie było już odpowiedniego biurka, a dyrektor wystawy chciał nam narzucić koniecznie mebel niestosowny i niegustowny, dlatego jedynie, że pochodził on z ręki tego samego stolarza, co owe szafy. Że wyraz „narzucić” nie jest zbyt ostry, tego dowodzi fakt, że gdy wzbraniałyśmy się wziąć biurko, podwyższył cenę szaf z 90 na 105 złr! Usiłowaliśmy zwrócić uwagę tego pana na to, że celem i zadaniem wystawy nieustającej, nie jest tylko ułatwienie rzemieślnikom naszym — à tout prix — zbytu ich wyrobów, ale także — i to może nawet w pierwszym rzędzie, podniesienie poziomu rzemiosła, podniesienie i uszlachetnienie dobrego smaku zarówno u publiczności, jak i u wytwórców naszych, no i — last not least — obznajamianie i budzenie upodobania w polskim stylu. Wszystkim tym zadaniom, instytucya ta, która ma być jednym z filarów wspierających przemysł krajowy, zadość nie czyni.

Nie chcę wdawać się tu w rozbiór przyczyn tego faktu, dodam tylko, że, gdy z powodu braku dostatecznych funduszy, wystawa nie może zaprowadzić u siebie spląt ratalnych, tak rozpowszechnionych i tak niezbędnych prawie dla całej sfery ludzi żyjących jedynie z zarobku, przeto przeważna większość ludności klas średnich, popychana jest niemal gwałtem przez te same czynniki, które nawołują ogół do popierania przemysłu krajowego — do korzystania z mebli wiedeńskich. Meble (i inne wyroby) w stylu narodowym, mogą dziś mieć tylko ludzie bogaci i — bardzo cierpliwi, bo rzeczy takie otrzymać można jedynie na zamówienie, za grubą zaliczką i po długim, długim czekaniu. I możnaby tego samego dowieść we wszystkich prawie większych gałęziach przemysłu, tak, że o pomyślnym poniekąd rozwoju możnaby chyba tylko mówić w dziale przyborów szkolnych i guziczkarstwa. A co do ostatniego jeszcze zauważyć należy, że zawdzięcza ono inicjatywę i powodzenie dalsze wyłącznie prawie poświęceniu jednej tylko osoby, t. j. pani radeżyni Starzyńskiej, wiadoma zaś rzecz, że sprawa tak ważna, jak przemysł krajowy, nie może mieć znaczenia ekonomiczno-narodowego, jak długo opiera się na wysiłkach jednostek, na „poświęceniu,”

\* Na scenie teatru Wielkiego zapowiedziana u nas, jako najbliższa nowość, opera Ermano Ferrari, młodego Włocha, p. t. „Ciekawe kobiety.” Opera ta grana była obecnie świeżo w stolicach Europy i cieszyła się dużem powodzeniem. Krytyka przyznaje jej dużo południowego temperamentu, zdolności wydobycia efektów scenicznych i wogóle dobrze zapowiadający się talent. Treść opery nie bardzo skomplikowana: Kilku mężów założyło klub towarzyski, wyłączając zeń kobiety. Ponieważ zebrania ich osłonięte były pewną tajemniczością, podnieciło to więc ciekawość żon, zmobilizowały się, i używając zwykłej broni, t. j. pieszczoł, płaczów, omdlenia, wydobły potajemnie klucze od mężów, by się w końcu przekonać, że zabawy podejrzewanych były bardzo niewinne. Skromne to libretto okraślił autor wdzięczną, melodyjną, lekką muzyką. Młody autor Ermano Ferrari, ma lat zaledwie 28; jest obecnie dyrektorem Benedetto-Marcello Konserwatorium w Wenecyi, t. j. najstarszej szkoły państwowej muzycznej we Włoszech. Ojciec jego jest znanym malarzem. Młody autor napisał obecnie nową operę „Czterej grubianie,” która wystawiona będzie w Styczniu w „Monachium.”

\* Berta v. Suttner, znana rzeczniczka pokoju, rozpoczęła po Niemczech objazd z odczytem p. t. „Nauka wschodnio-azyatyckiej wojny.” Wszędzie przyjmowana jest z wielkimi owacyami.

\* W Rzymie występuje obecnie w truppe dramatycznej Fumagalli, w rolach kochanków syn d'Annunzia, Steno.

\* Najnowsza opera Eugeniusza d'Alberta „Flauto Solo,” wystawiona będzie tej zimy w niemieckim teatrze w Pradze.

\* Sven Lange, znany dramaturg duński, autor „Cichych tragedyi,” na skutek bolesnego ataku choroby sercowej, usiłował odebrać sobie życie. Szybka pomoc uratowała desperata.

\* Najnowsze dzieło A. Strindberga nosi tytuł: „Miniatury historyczne,” a składa się z dwudziestu dwóch szkiców: pierwszy z nich nosi tytuł: „Niewolnictwo egipskie,” a ostatni „Dni sądu” i opisuje rewolucyę francuzką. Wśród postaci historycznych, jakie nam autor podaje, znajdujemy Juliana Apostatę, Papieża Grzegorza I-go („Sługa sług”) Lutra („Laokoon”) Ludwika XI-go francuzkiego, Fryderyka Wielkiego i Woltera („Siedm lat dobrych”).

\* Wiedeńska „Secesya” zamierza na miesiące Listopad i Grudzień urządzać wystawę nowoczesnej sztuki religijnej; dopuszczone jest: malarstwo, rzeźba, architektura, sztuka stosowana i grafika, wyłącznie jednak dzieła, noszące charakter religijny.

\* Zmarł w tych dniach jeden z najznakomitszych malarzy belgijskich, Florent Willems, urodzony w Liège w roku 1823. Wybitne stanowisko zajmował wśród malarzy rodzajowych XIX-go wieku. We Francyi był zarówno znany, jak i w swojej ojczyźnie. Znakomite odnowienie Rafaela „Jana Chrzciciela,” nad którym dwa lata pracował w Luwrze, zjednało mu krzyż legii honorowej.

\* Słynna tancerka bosonoga, Teodora Duncan założyła, jak wiadomo, w Berlinie szkołę tańca. Na pierwszy występ szkoły Humperdinck, autor „Jasia i Małgosi” ułożył muzykę, którą wykona orkiestra i którą odtanńczy dwadzieścia dziewczynek.

\* Eleonora Duse kreowała w Paryżu, po francuzku, jedną z głównych ról w sztuce Gorkiego: „Na dnie,” zatytułowaną po francuzku „Bas fonds.”

m. l.



a nie na interesie, i jak długo nie obejmuje produkcją swą całego ogółu ludności...

Zmęczyła mnie ta trudna przechadzka po tych niekulturalnych wertepach narodowo-galicyskiego przemysłu, i czytelniczki zapewne również pragną wytchnienia i pogody umysłu. Gdzież łatwiej znaleźć je, jak w tej dziedzinie, która jest *par excellence* pokrzepieniem i podniesieniem dla ducha, to jest w sztuce?

Wstąpmy więc do nowego Muzeum przemysłowego przy ulicy Teatralnej, gdzie obecnie mieści się Nieustająca wystawa Towarzystwa sztuk pięknych. Wbiegnijmy szybko po schodach, zbyt wąskich, jak na monumentalny budynek (choćby bocznych), nie przyglądajmy się zbyt dokładnie wewnętrznej dekoracji pokoiów, nie przywołujmy porównań z muzeami zagranicznymi, lecz starajmy się rychło załatwić formalności wstępu i stańmy w sali udekorowanej krajobrazami M. Harasimowicza. Od razu uczujemy, że robi nam się na duszy przyjemnie i ciepło. Gdzie oko spojrzy, widzi nasze góry, nasze lasy, nasze strumienie, jeziora i wodospady, nasze hale i łąki, słowem to, co stanowi, niepożyta i najbardziej uroczą właściwość polskiej ziemi, tę piękność krajobrazów górskich, których kwintessencją niejako są „Pieniny.“ Któż nie marzył kiedyś o zmierzchu, spoglądając na te ciemno-liliowe szczyty, któż w miłym towarzystwie nie przechodził kiedyś przez tę jasno-zieloną, słońcem południowem zalaną drogę leśną między wysokimi sosnami? Takie to wszystko swojskie, tak przypomina chwile przeżyte i rzeczy widziane, że nie tylko oko, ale i serce się raduje. Mniejsza o to, czy w tych obrazach technika doprowadzona jest do mistrzostwa, lub nie, czy tu i ówdzie nie brak trochę powietrza, czy w tych barwach i w tych światłach jest zawsze dość blasku i życia, mniejsza o to, skoro tak intensywna w nich jest siła przypomnienia, skoro tak głośno rozbrzmiewa z nich nuta polska... I że ten pracowity artysta nie dał się skusić łatwym tryumfem symbolistycznego dekadentyzmu i zamiast kilku pstrych zagadek, dał nam cały szereg pejzaży polskich, to czyn obywatelski, za który wdzięczność mu się należy...

Nastrój wywołany „Pieninami,“ potęguję się jeszcze, gdy wchodzimy do drugiej sali, gdzie wystawione są rzeźby Góralczyka. I tu znów przypomina mi się wierszyk, przytoczony na wstępie. „Ależ to tylko same chłopskie konie!“ — odezwał się z grupy zwiedzających jakiś głos kobiecy z wyrazem rozczarowania. Pomijam już, że temat dzieła sztuki nie wchodzi w rachubę przy artystycznej jego ocenie, ale czy w istocie są to tylko konie chłopskie? Ależ przez te szkapy wychudłe z występującymi z pod skóry żebrami, ciągnące resztką sił kłodę drzewa, lub wóz drabiniasty, spadający całym ciężarem ze spadzistego pagórka, — przez te nawpół osleple, zbiedzone oczy chłopskich koni, — przez tę ocieżałą, drzemiącą postać chłopskiego woźnicy, siedzącego na ciężko opakowanej bryce, — przemawia do nas tak wyraźnie, a z przejmującą melancholią cała nędza i ciemnota ludu naszego, cała prymitywność ukrytej gdzieś zdala od centrów kulturalnych wioszczyzny polskiej. I budzi się w duszy widza jakieś silne wzruszenie, jakaś litość bezmierna i jakieś silne przywiązanie do tego ludu... Z tych w najrozmaitszych pozycjach ujętych koni i z tych wółw u pługą wylania się tak silna prawda życiowa, że mimo małego formatu, zapomina się wprost, że ma się przed sobą tylko odtworzenie życia, a nie samo życie...

Góralczyk jest podobno artystą młodym i mało znanym, a nasza krytyka artystyczna czyni, co może — a raczej nie czyni, co może, ażeby jak najdłużej pozostał nieznanym; trudno pomimo najlepszych chęci dowiedzieć się o nim bliższych szczegółów. Miejmy jednak

nadzieję, że jego niepospolity talent powali ten mur milczenia i wybije się zwycięzko na szerszą widownię...

W najbliższym sąsiedztwie Muzeum jest Teatr miejski i mimowoli oko nasze zwraca się na afisz, na którym czytamy wyraz „Macierzyństwo.“ Wystawienie tego dramatu słynnego dramaturga włoskiego Bracca i przyjęcie, jakiego doznał we Lwowie, było charakterystycznym dla naszej publiczności, dla naszej krytyki i dla naszej dyrekcji. Ilekroć dyrektor Pawlikowski, wiedziony subtelną intuicją artystyczną i z rozległej wiedzy wynikającą obiektywnością, wystawi rzecz nie banalną, oryginalnie śmiałą i oddalającą się od szablonów życia, tyle razy publiczność nasza przeciwstawia mu zupełny brak zrozumienia i co za tem idzie, po części obojętność, a po części oburzenie. A krytyka nasza nie tylko nie stoi w sprzeczności z *vox populi*, ale najczęściej, zamiast kierować opinią, podaje się jej.

Ilustracją tego jest właśnie „Macierzyństwo.“ Premierowa publiczność — innej w ogóle przy tej sztuce prawie że nie było — podzieliła się na dwie części: jedni delektowali się niesmacznymi i pikantnymi słówkami i sytuacjami pierwszej i najsłabszej części dramatu, zresztą organicznie wcale z nim nie związanej, i oceniali rzecz całą, jako zwykły „*drame d'adultère*,“ czem on zgoła nie jest; inni znów wymyślali autorowi od niemoralności, nienaturalności, a dyrektorowi wprost od... zuchwałstwa.

Tymczasem spotkaliśmy się tu z ideą zupełnie nową, a przynajmniej scenicznie wcale nie użytą: wyidealizowaniem macierzyństwa, jako najświętszego i najszczytniejszego uczucia w życiu kobiety, które zarazem czyni ją silniejszą, moralniejszą i zdolniejszą do wyzwolenia się z więzów podłości i kłamstwa, jakie nakłada kobiecie pożyte z mężem niegodnym i niekochanym. Bohaterka dramatu, czując, iż spełni się cel i najwyższe pragnienie jej życia, że zostanie matką, postanawia rozłączyć się — *coûte que coûte*, kosztem nawet utraty majątku i legalnego nazwiska, z mężczyzną, którym pogardza, ażeby dziecko swe usunąć z pod jego wpływu i nie pozwolić mu chować się w atmosferze podłości. Prawda, że środek, jakim się posługuje do osiągnięcia tego celu nie jest *correct* — oświadcza bowiem wbrew prawdzie, że mąż jej nie jest ojcem jej dziecka — ale nie ma ona innego wyjścia, prawo bowiem przyznaje dziecko nie matce, lecz ojcu; *à la guerre, comme à la guerre*, wszystkie środki są dozwolone.

Krytyka jednak nasza w postępowaniu tej kobiety, w której skondensowała się niejako istota macierzyństwa, dopatrzyła się mściwości kobiecej, jakiej w sztuce w istocie niema ani śladu, traktowała ją, jako okaz patologiczny, a nadto chciała tej matce narzucić pod groźbą zarzutu niemoralności swój własny, ciasny i filisterski sposób zapatrywania się, wedle którego matka może widzieć szczęście dziecka swego jedynie w fortunie i legalnym pochodzeniu. A jednak nie brak przykładów, że i dzieci pozbawione tych dwóch — co prawda potężnych środków zewnętrznych powodzenia, wyrosły na ludzi wybitnych i poważanych, dzięki pełnym poświęcenia staraniom matki, oraz własnym cnotom i zdolnościom.

Sztuka nie została zrozumianą — a szkoda, posiada ona bowiem oprócz swej wartości teoretyczno-artystycznej, także i wielkie zalety sceniczne, a nadto powiększyła w bardzo korzystny sposób repertuar sympatycznej artystki, p. Bednarzewskiej. Okazało się znów, że role dramatyczne z silnym podkładem uczuciowości najlepiej odpowiadają jej talentowi, zwłaszcza, jeżeli pozwalają jej przytem użyć swą ujmującą powierzchowność i rozwinąć wytworny smak w doborze toalet — jak to właśnie miało miejsce w „Macierzyństwie.“

Jeżeli o młodych i nienatrzętnych talentach

milczą nasi augurowie, to nie wynika ztąd jednak, iżby nie potrafili bić w wielki dzwon reklamy przy innej sposobności, może tam właśnie, gdzie rzecz sama mniej na to zasługuje.

Na każdym prawie kroku, na tablicach afiszowych, w anonsach, a nawet w artykułach wstępnych spotykamy się z zapowiedzią „Szkoły gospodarstwa domowego,“ którą otwarto w dniu 15-ym b. m. Prawda, że inicjatorką i kierowniczką tej szkoły jest p. H. Szczepanowska, znana ze swej patriotycznej i obywatelskiej działalności. Tem większą sprzecznocią wydać się musi program tej szkoły. Przedewszystkiem nasuwa się pytanie, dla kogo założona jest ta szkoła? Dla dziewcząt ze sfer uboższych, pracujących i zarobkujących *nie*, gdyż opłata 10 złr. miesięcznie wyklucza je z tej szkoły; a jednak one właśnie z racjonalnej nauki gospodarstwa domowego utworzyłyby mogły dla siebie zawód poplatny, połączony z korzyścią szerszej publiczności. Wiemy zaś, że wśród klas średnio-zamożnych zapanował obecnie prawie powszechnie prąd, kształcenia córek na równi z chłopcami w gimnazyach, liceach i szkołach realnych, celem otwarcia im zawodów akademickich.

Pozostaje więc tylko garstka panienek z rodzin najbogatszych i dodajmy — najmniej postępowych, która korzystać będzie z tej szkoły. Przedsiębiorstwo, w takim zakresie prowadzone, może wprawdzie liczyć na materialne powodzenie, nie ma jednak ani znaczenia społecznego, ani nie zdoła tam, gdzie to najpotrzebniejsze, podnieść i uszlachetnić poziomu zajęć gospodarskich.

Prócz tego program — jak sądzę ze szkodą właściwego celu, obejmuje oprócz przedmiotów, do zakresu gospodarstwa należących, jeszcze rozmaite nauki, których celem jest — jak czytamy w programie — „poznanie własnego społeczeństwa, warunków, w jakich ono się rozwija, oraz ciężących na jego członkach obowiązków.“

Nauki te są to: historia, geografia, nauki społeczne, chemia, botanika, higiena, fizjologia, anatomia, klimatologia, estetyka, śpiewba, nawet religia. I wszystkie te skarby wiedzy mają uczeniece osiąść w kursie ośmiomiesięcznym, obejmującym po dziesięć godzin tygodniowo.

Czy korzyści tego kursu naukowego nie muszą pozostać iluzoryczne?...

D-r F. N.

## Kronika działalności kobiecej.

— W Krakowie odbył się zjazd „Kobiet polskich“ pod przewodnictwem pań: Reinszmit-Kuczalskiej z Warszawy, Z. Tułodzieckiej z Poznania i Z. Daszyńskiej-Golińskiej z Krakowa. Zanim podamy obszerniejsze sprawozdanie, zaznaczamy tu, że zjazd odbył cztery posiedzenia w sprawach politycznych, wychowawczych, ekonomicznych i obyczajowych.

Referaty odczytały pierwszego dnia: Iza Moszczeńska, R. Kuczalska, oraz Estera Golde-Stróżecka, znana socjalistka, która też nadawała ton zjazdowi. Następnego dnia staczano żywe dyskusje. Z Daszyńska-Golińska proponowała, aby zawiast ogólny zjazdów, z zabarwieniem politycznym, urządzać specjalne zebrania w celach kulturalnych.

W końcu utworzono komisję dla zwołania następnego zjazdu.

— **Austria.** Ministerium oświaty powołało znaną działaczkę na polu ruchu kobiecego, żonę jednego z pierwszorzędných adwokatów wiedeńskich, p. Hertę Sprung, na stanowisko inspektorki żeńskich szkół rzemiosł w Austrii.

— **Gmina miasta Pragi** powołała kobiety-lekarki na stanowisko lekarzy przy szkołach żeńskich w Pradze.

— **Paryż.** Panna Josée Martin, córka znanej pionierki ruchu kobiecego we Francji, złożyła świetnie egzaminy z wydziału prawniczego w Uniwersytecie Paryżkim. Jest to jedyna kobieta, która w roku bieżącym skończyła we Francji wydział prawniczy.

— **Berlin.** Po ostatniem obliczeniu z roku 1905-go, okazało się, że w Berlinie pozostało zaledwie 30 szkół dla chłopców, w których nie było nauczycielek żeńskich. W 102-u szkołach nauczało 224 nauczycielek, w klasach dla chłopców, — w 22-ch zaś szkołach, 50 nauczycielek w klasach mieszanych, tak, że ogółem 227 nauczycielek, czyli jedną szóstą świata nauczycielskiego, zajętego w szkołach dla chłopców, stanowią kobiety.

— **Inżynier Rottman** otworzył przy ulicy Planufer, Nr. 62, pierwszą wyższą szkołę techniczną dla kobiet. Wykłady obejmują: poszczególną budowę i rysunek maszyn, matematykę, a w tej: trygonometrię, mechanikę i geometryę. Kurs rozpoczyna się 18-go Października.

— **Dania.** Liczba studentek w Uniwersytecie w Kopenhadze wynosi obecnie 45. Jest to dotychczas najwyższa liczba, jaką Uniwersytet Kopenhazki pamięta.

Z. S.

W tymże samym numerze poruszona jest sprawa udoskonalenia istniejącego w Warszawie Muzeum pedagogicznego (Skladowa, 3) i skompletowania braków, oraz zakładania podobnych Muzeów na prowincyi, połączonych z biblioteką i wypożyczalnią pomocy naukowych. W Warszawie w lokalu „Zbiorów“ mieści się biblioteczka podręczników polskich, z których korzystać mogą nauczyciele codziennie od godz. 5—7, w niedziele od 10—2 po poł.

— **Grono osób** pracujących fachowo na polu pedagogicznem, lub też z zamiłowania zajmujących się sprawą wychowania, powzięło zamiar zawiązania Towarzystwa pod nazwą „Urania“, któreby czuwało zawodowo nad wyrobem pomocy naukowych, tudzież ułatwiał rodzicom, nauczycielom, wychowawcom oraz kierownikom szkół początkowych i średnich nabywanie odpowiadających wymaganiom współczesnej pedagogiki narzędzi, przyrządów, okazów, tablic, modeli, globusów, map i t. p., mających zastosowanie w kształceniu naukowem, higienicznem i estetycznem. Projektowany zakres działalności Towarzystwa ma obejmować całokształt życia szkolnego z jego wszystkimi potrzebami, a więc:

I. *W dziale potrzeb naukowych:*

- wyrób i sprzedaż okazów do nauk przyrodniczych, tablic poglądowych,
- podręcznych laboratoryów do nauki fizyki, chemii i t. d.
- pomocy naukowych w zakresie nauk historycznych, geografii i innych.
- przyrządów do nauki arytmetyki, geometrii, kosmografii.

II. *W dziale wymagań higieny:*

- wyrób i sprzedaż urządzeń szkolnych: tablic, ławek, szaf do okazów, bibliotek i t. d.,
- urządzeń gimnastycznych, oraz przyrządów do gier i zabaw na wolnem powietrzu.
- przyrządów do początkowej nauki rzemiosł i t. p.

III. *W zakresie rozwoju estetycznego:*

- wyrób i sprzedaż przyborów, wzorów do nauki rysunków,
- przygotowanie artystycznych tablic do nauki o rzeczach,
- szereg wydawnictw kształcących poczucie artystyczne dziecka drogą zaznajamiania z arcydziełami sztuki.

Spółka powyższa będzie utworzona na podstawie Towarzystwa firmowo-komandytowego. Wysokość wkładu oznaczono na rubli 50. Adres Spółki: Jerozolimska, 25.

W skład komitetu organizacyjnego wchodzi: M. Brzeziński, S. Dickstein, T. Jaroszyński, M. Heilpern, R. Kornilowicz, W. Krypski, K. Kulwiec, M. Morawska, M. Radziwiłłowiczowa, Berent, Kalinowska, Leszczyński, Wierzbicki.

— W chwili tak doniosłej, jaką przeżywamy obecnie, humor warszawski nie próżnuje. Dał folgę i wyraz uja-

wniając się w postaci jednodniówki, zatytułowanej: „Blagier Warszawski“, która ukazała się w ostatnich dniach z. m. Układ zwykły pism codziennych, numer zawiera wiadomości polityczne, korespondencje i telegramy, ekonomiczne, społeczne, feljton, kronikę, wypadki bieżące i t. p. Wszystko okraszone humorem, niepozabawionym satyry.

— W dniach 24-ym i 25-ym z. m. stanęły w Warszawie wszystkie koleje nadwiślańskie i warszawsko-wiedeńska.

Strajk kolejowy w Cesarstwie rozszerzył się i ogarnął Rosyję południowo-wschodnią.

— W Białymstoku zawiązało się Towarzystwo wzajemnego ubezpieczenia się robotników na wypadek kalectwa i śmierci. Na prezesa wybrano p. Józefa Nehringa, inżyniera wodociągów, na dyrektora p. Władysława Dawidowskiego, na członków zarządu pp. Aronsona, Flackera i Lejszgolda.

— W Brześciu Litewskim wykład religii w gimnazjum tamecznem odbywa się w języku polskim.

— Dnia 24-go z. m. zmarł w Warszawie s. p. *Józef Zieliński*, syn Gustawa, poety, autora „Kirgiza“. Sam pisywał pod pseudonymem Józefa z nad Drwęcy korespondencje, nowelle i poezje, pomieszczone w licznych pismach warszawskich. Zajmował się także z zamiłowaniem numizmatyką i pozostawił sporo prac z tego zakresu. Wspaniałą bibliotekę s. p. Zieliński ofiarował miastu Plocku, chcąc imię swoje w wdzięcznej narodu przechować pamięci. Pochowany w Skepem, w grobach rodzinnych.

### Treść numeru:

W zaraniu nowego dnia.—Plotecki i prawdy, feljton tygodniowy, przez Parola.—Od Redakcyi.—Sąd Boży, obrazek z XII-go stulecia, przez Teodora Jeske-Chońskiego (ciąg dalszy).—Bozka królewna (wiersz), przez M. Romanową.—Reforma małżeństwa, przez Zofię Seidlerową.—O szczęście dziecka: VII. Przyroda, przez Jadwigę z Z. Strokową.—Historja kobiety, studjum historyczne, przez Julię Terpiłowską (ciąg dalszy).—Z pobytu na dalekim szlaku, przez A. Tripplinównę (ciąg dalszy).—Mulatuli: Z kobiecego brewiarza.—Jeszcze dla dzieci.—Przeгляд teatralny, przez Adama Dobrowolskiego.—Ze szkoły artystycznej dla kobiet p. f. „A. Conti“, przez Z. S.—Sztuka i literatura zagraniczna, przez m. l. — Z listów do „Bluszczu“ ze Lwowa, przez d-ra F. N. — Kronika działalności kobiecej, przez Z. S.—Kroniczka.—Ogłoszenia.

Do dzisiejszego numeru dołącza się arkusz 2-gi powieści Ryszarda Voss'a p. t. „Willa Falconieri“, w przekładzie Maryi Łaganowskiej.

*Dodatek* do n-ru 45-go: Opis ubiorów i robót (rycyn 18) do n-ru 46-go opis ubiorów i robót (rycyn 03). — Przepisy kuchenne, oraz Tablica krojów.

## Kroniczka.

— „Kuryer Codzienny“ w N 259-ym z d. 24-go z. m. poświęcił wiele pola i uwagi sprawie szkolnej i związanej z nią reformie pedagogicznej, zmierzającej ku ulepszeniu środków i sił dotychczas istniejących, ogłaszając obszerny kwestyonaryusz w sprawie szkół prywatnych i rozpatruje rozliczne zagadnienia z niemi związane pod względem zewnętrznego, technicznego urządzenia szkoły, uwzględnienia strony pedagogicznej i duchowej, wreszcie postawił pytania dotyczące urządzeń internatu.

## OGŁOSZENIA.

### TYLKO RUBLA

w Warszawie, a **rb. 1 kop. 25** na prowincyi i w Cesarstwie wynosi prenumerata kwartalna tygodnika ilustrowanego

## „NAOKOŁO ŚWIATA“

Jedynie pismo polskie podróżnicze

wychodzące od r. 1902.

Prenumeratę przyjmują księgarnie, biura dzienników, oraz Redakcja Elekoralna № 18, Telefonu № 137, w Warszawie.

### SZKOŁA KROJU S. ROSZKOWSKIEJ

ZŁOTA № 3. \*\*\*\*\* PENSYONAT.

Kursa prywatne i cehowe objaśnienia w 4-ch językach.

Po powrocie z zagranicznej akademii otworzyłam, kursa kapelusznicze, bieliźniarskie, oraz specjalne kursa kroju dzieciennego.

### WYŻYMACZKI EMPIRE marki fabr.

Wanny z piecykami

Piece żelazne do węgla, lub nafty

Pralnie „RAPID“ z korbą.

Naczynia kuchenne



## Krzysztof Brun & Syn

w Warszawie, plac Teatralny.





(Dok. opisów do Nr. 44).

№ 2. Kostyum z sukna i z aksamitu.

Suknia z popielatego sukna i aksamitu w ciemniejszym odcieniu, przybrana tegoż koloru jedwabną pletnią. Spódnicę z dwóch części, na oddzielnej podszewce, z tyłu zapinaną, otacza w dole lista falbana, znacznie niższa z przodu niż z tyłu, wycięta w duże koliste zęby, naszyte dwa razy połączoną pletnią. Stanik krótki, z przodu bawetowy z aksamitnym otwartym bolero, otoczonym pletnią. Dół stanika pokrywa pasek z pletni, przy kamizelce zakończony w zęby. Kamizelka niebieska pastel, sukienna, przybrana drobnymi pasmanteryjnymi guziczkami. Szmizetka z haftowanego batystu, ze stojącym kołnierzykiem, dopełnia całości. Rękaw paltotowy z aksamitnym mankietem zdoi pletnią.

Potrzeba: 3 mtr. popielatego, 1/2 mtr. niebieskiego sukna podw. szer., 6 mtr. aksamitu, 35 mtr. pletni 1 1/2 mtr. szer., 28 większych, 40 mniejszych pasmanteryjnych guziczków.

№ 3. Okrycie wieczorowe. Kapelusz z piórami.

Okrycie z sukna koloru morza, na jasnej jedwabnej podszewce, lub też o wiele praktyczniejsze z ciemnego sukna na cokolwiek jaśniejszej podszewce. Plecy krótkiego staniczka zaszyte w dwie zastębnowane, 6 ctm. szer. kontrafaldy. Przody gładkie, otwarte, z nafałdowanymi wylogami, wypełniona kamizelka z sukna, zapinana na haftki, z kołnierzykiem stojącym wykładanym, przybrana ukosem czarnego atlasu, naszytym w ząbki złotym sutaszem. Atlas z obu stron otacza jeszcze oszycie z niebieskiego i białego sutaszem, a kołnierzyk zdobią patki z lila aksamitu ze złotym sutaszem i guzikami. Takież przybranie na mankietach przy bufiastych rękawach, oszytych koronkowymi falbanami. Dół okrycia,

mający w około 3 mtr. obwodu, lekko zmarszczony w górze, połączony ze stanikiem pod 4 ctm. szer. okrągławo przykrajany paskiem, zakończonym guzikami. Okrycie kryto zapinane.

Kapelusz z brązowego fleu z małą aksamitną główką przybrany jasno różowymi, strusimi piórami. Główkę otacza szereg drobnych róż.

Potrzeba: 4 mtr. sukna podw. szer., 1/4 mtr. ukosu czarnego atlasu, 6 mtr. złotego, 7 mtr. niebieskiego i 7 czarnego sutaszem, 7 metrów jedwabnej podszewki, 1 1/2 mtr. koronki.

№ 4. Praktyczny kostyum dla młodej pani.

(Patrz szkic b).

Kostyum z ciemno zielonego, grubego welnianego materiału ze spódniczką bez podszewki, złożoną z 7 brytów z wierzchu zastębnowanych, z wązkiemi fałdami w dole. Tył, przy szwie ułożony w dwie głębokie, ku sobie idące fałdy, zastębnowane na 15 cent. od góry. Przód i boki spódnicy zdoi w dole sześć trójkątków z ceglatego aksamitu, pletni i sutaszem. Zakieciak z karczkiem z tyłu prostym z przodu cokolwiek zaokrąglonym. Plisy przedłużone po za stan, zwężone i zakończone w ząb, pokrywają szwy przodów i pleców (patrz szkic b). Przody w zakładki, otwarte, obłożone aksamitem, wyszytym sutaszem. Oszycie z pletni otacza żakiet w około i zdoi przody, wewnątrz podszyte białym sukniem. Kamizelka ze stojącym kołnierzykiem, przybrany ceglasytym aksamitem naszyta sutaszem i pletnią. Biały sukienny kołnierzyk żakietu zdoi pletnią i sutasz. Rękaw paltotowy przybrany przy rękę pletnią, aksamitem i sutaszem.

Potrzeba: 5 1/2 mtr. materiału podw. szer., 30 ctm. białego sukna, 40 ctm. ukosu aksamitu, 10 mtr. pletni, 16 mtr. sutaszem, 10 guziczków.



№ 3. Spódniczka i bluzka dla dziewczynki od 12—13 lat. (Krój pierw. str. tabl. Fig. 26—36).

№ 4. Sukienka dla dziewczynki od 6—8 lat. (Krój pierw. str. tabl. Fig. 37—42).

№ 5 i 6. Wieczorowe sukienki dla młodych panienek.

Obie sukienki z lekko wyciętymi bluzkami, odpowiednie są na wieczorki, koncerty i t. p.

Sukienka ryc. 5 cała, biała z lekkiego woalu, koronki i materji „Liberty“. Bardzo szeroko zmarszczona koronka, zwężona na plecach i na ramionach, otacza wykrój z tyłu zapinanej bluzki. Pliska z materji przytrzymuje koronkę przy szyi i przedłużona przepina koronkę środkiem przodu. Pasek marszczony z materji, z przodu spięty na klamerkę. Rękawy bufiaste do łokcia zakończone plisą, falbanki z materji i z koronki. Spódniczka 5 mtr. obwodu, na oddzielnej podszewce, przód stanowi wązka kontrafalda rozszerzona ku dołowi, dalej sukienka cała wymarszczona i razem z podszewką wszyta w pasek. Dół sukienki może być dowolnie przybrany falbankami lub gładki.

Ryc. 6. Suknia z bladej różowej materji i jasno zielonego „Panne“. Gorsceikowy pasek, wyłogi półdługich bufiastych rękawów i kokardki zdobiące przód bluzki otacza 10 ctm. szer. koronka, zwężona z przodu przy zapięciu do 5 ctm. Koronką oszyte też otwarte wyłogi rękawów. Guziki zdobią pasek i wyłogi. Spódniczka na oddzielnej podszewce ułożona z przodu w dwie kontrafaldy, zastębnowane na 15 ctm. dług. Dalej spódniczka przemarszczona 4 razy i ujęta razem z podszewką w ukośny paseczek.

№ 7. Kostyum przybrany futrzaniem esyciem.

Kostyum z sukna koloru „beige“ przybrany sobolami. Spódniczka zapinana z tyłu, na oddzielnej podszewce, zastębnowana, w górze na 20 ctm. dług. w drobne zakładki. Dół powyżej obrębu naszyty dwa razy sobolami. Staniczek w kontrafaldy z gładkim karczkiem, wyciętym w zęby, otaczają sobole. Pasek szeroki aksamitny, kołnierzyk i krawat z brązowego aksamitu, kołnierzyk i półdługie rękawy otaczają falbanki z linonem. Szmizetka ze stojącym, z tyłu zapinanym kołnierzykiem z haftowanej materji.

Potrzeba: 5 1/2 mtr. sukna podw. szer., 11 mtr. sobolowego oszycia 3 ctm. szer., 30 ctm. materji, 65 ctm. aksamitu, 3/4 mtr. „linon“ podw. szer., 6 guziczków.

№ 9. Wieczorowa toaleta, przybrana drobnymi różami.

Suknia biała tiulowa przybrana koronkowymi pasami naszytymi pailletkami i różowymi różyczkami z chiffon z zielonymi liśćmi. Różyczki ułożone w wianuszeki przepinają koronkowe pasy, otaczają girlandą będąc stanika i krótkie rękawy. Spódnica z 8 brytów zwężonych w górze, w dole 5 mtr. szer. zaszyta w dwie grupy po pięć zakładek 15 i 8 ctm. szer. Dół i spódnicy otacza marszczona 7 mtr. szer. falbana z przodu 17 ctm. z tyłu 24 ctm. wysoka. Dół i przyszyte falbany



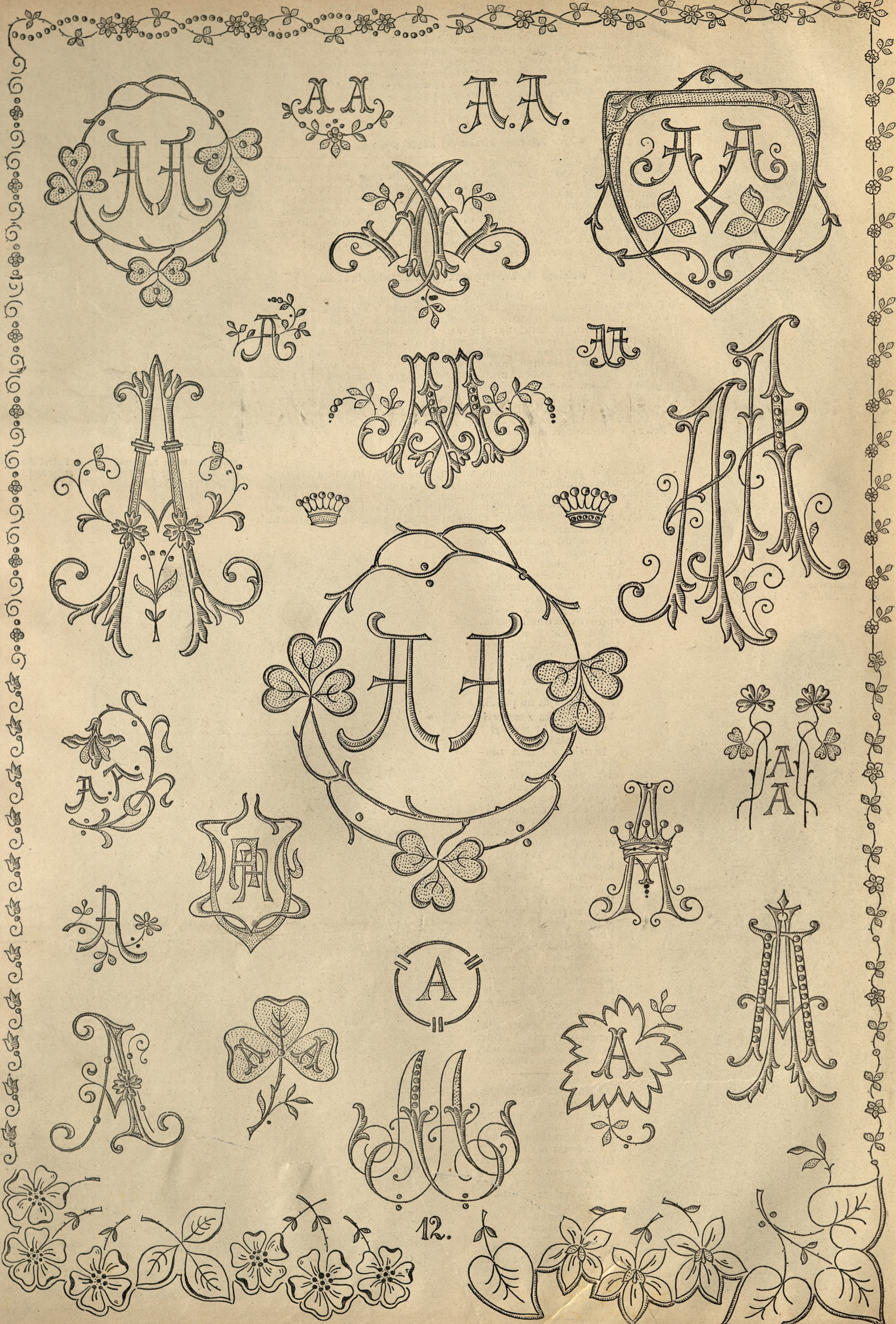
Szkic a do ryc. 1.



№ 1. Kostyum do żałoby. (Patrz szkic a).

№ 2. Kostyum do żałoby lżejszej. (Krój odw. str. tabl. Fig. 90—95).





№ 3. Spódnica i bluzka dla dziewczynki od 12-14 lat.  
(Krój pierw. str. tabl. Fig. 26-37).

Spódnicę z materiału wełnianego w kratkę, przybierają: plisy z materiału, stebnowka i guziki. Ponad szeregiem stebnowki plisy naszyte w zęby, przyciskają w odstępach plisy nastebnowane pionowo, zakończone w kształcie patek i przymocowane guzikami.

Bluzkę z ciemnego foulé, w odpowiednim kolorze do spódnicy, przybiera biały kaszmir, ujęty w pliski z materiału i drobne guziczki w dwóch wielkościach. Wykładany kołnierzyk, mankietki, plisa z przodu i pasek z białego kaszmiru.

№ 4. Ciemna sukienka dla dziewczynki od 6-8 lat.  
(Krój pierw. str. tabl. Fig. 37-42).

Sukienkę z granatowego szewiotu ozdabiają punkciki, haftowane ponsowym i zielonym jedwabiem na wąskich pliskach z materiału. Gładki, zębato wykrojony karczek i stojący kołnierzyk, naszyte kremową gipiurą 3 cm. szeroką. Szarfa z materii w ponsowym lub zielonym kolorze pokrywa połączenie lekko przymarszczonej spódniczki z luźną, wyrzucaną bluzą. Rękawy do łokcia bufiaste, od łokcia wąskie.

№ 5. Szlafroczek formą Empire.

Do chusteczkowo złożonego karczka, przszyty luźny szlafroc, zakończony ukośną, marszczoną falbaną. Przybranie stanowią drobne złote guziczki oraz taśma ozdobna,

zakończona z jednego brzoza pikotkami. Rękawy złożone z trzech części, krótkiej bufy, wąskiego rękawa i falbany, jak również falbana u dołu i karczek ułatwiają użycie na szlafroczek znoszonych nieco rzeczy, a nawet zestawienie szlafrocza z dwóch materiałów.

№ 6. Praktyczny szlafrok z materiału w kratę.  
(Krój odw. str. tabl. Fig. 124-127).

Szlafrok z flanelki w kratę, ułożony w płaskie fałdy, przybierają ozdobne ścięgi, wyszyte grubym jedwabiem w kolorze zastosowanym do krat, oraz małe mankietki i kołnierzyk z aksamitu w tymże kolorze, wyłożone w kształcie wąskich pasków. Fałdy w górze zastebnowane, w stanie przytrzymuje pasek z materiału, wyszyty jedwabiem.

№ 7. Futrzana peleryna przybrana pasmanterią.

Pelerynę z sealskinu, (który też zastąpić można pluszem, albo imitacją futra) na gronostajach, lub na bielstkich, zakończy wysoki, wracający do mody kołnier Stuart. Strojną pasmanterię, naszytą przez przody i plecy w kształcie szelek, zakończają grełki lub chwaściki.

№ 8. Futrzany kaftanik z odrębną kamizelką.

Kaftanik z karakułów, albo breitschwanców, osztyt piękna jedwabną taśmą, wypełnia gronostajowa kamizelka. Mały szalowy kołnier z białego sukna, pokryty haftem, i metalowe guziki dopełniają przybrania. Kaftanik sporządzony na puchu i na strojnej adamaszkowej podszewce.



№ 1. Kostium wizytowy z frakowym stanikiem.

Wzory ubiorów i robót do № 45.

№ 1. Kostium do żałoby. (Patrz szkic a).

Kostium z miękkiego, wełnianego materiału składa się z powłóczystej spódnicy, wykończony na podszewce, zakończonej w dole gęstą stebnowką i naszytej trzema, stopniowo zężającymi się plisami z angielskiej krepki, oraz z bluzkowego stanika, obcisniętego bawecikowym. Gładki, angielski stanik, otwarty nisko na krepowej kamizelce, przybierają drobniejsze patki. Przód tworzy rodzaj plastronu. Rękawy przybrane odpowiednio do przodu spódnicy.

Potrzeba: 6 mtr. materiału podw. szer., 2 mtr. krepki, 5 guzików.

№ 2. Kostium do lżejszej żałoby.  
(Krój odw. str. tabl. Fig. 90-95).

Kostium z materiału foulé, przybierają mniejsze i większe patki z krepki przymocowane dzietowymi guziczkami. Przód spódnicy, przybrany w odstępach patkami, rozdziela się na podłożeniu z krepki. Dół nałożony stebnowaną plisą z materiału, zdobną również patki i guziki. Gładki, angielski stanik, otwarty nisko na krepowej kamizelce, przybierają drobniejsze patki. Przód tworzy rodzaj plastronu. Rękawy przybrane odpowiednio do przodu spódnicy.



№ 2. Krótki kostium aksamitny.

№ 3. Kostium angielski odpowiedni na ślizgawkę.



